

II. 149.221

PLASZCZ.

TŁMACZENIE Z ROSSIJSKIEGO

z dzieł

M. Gogola.

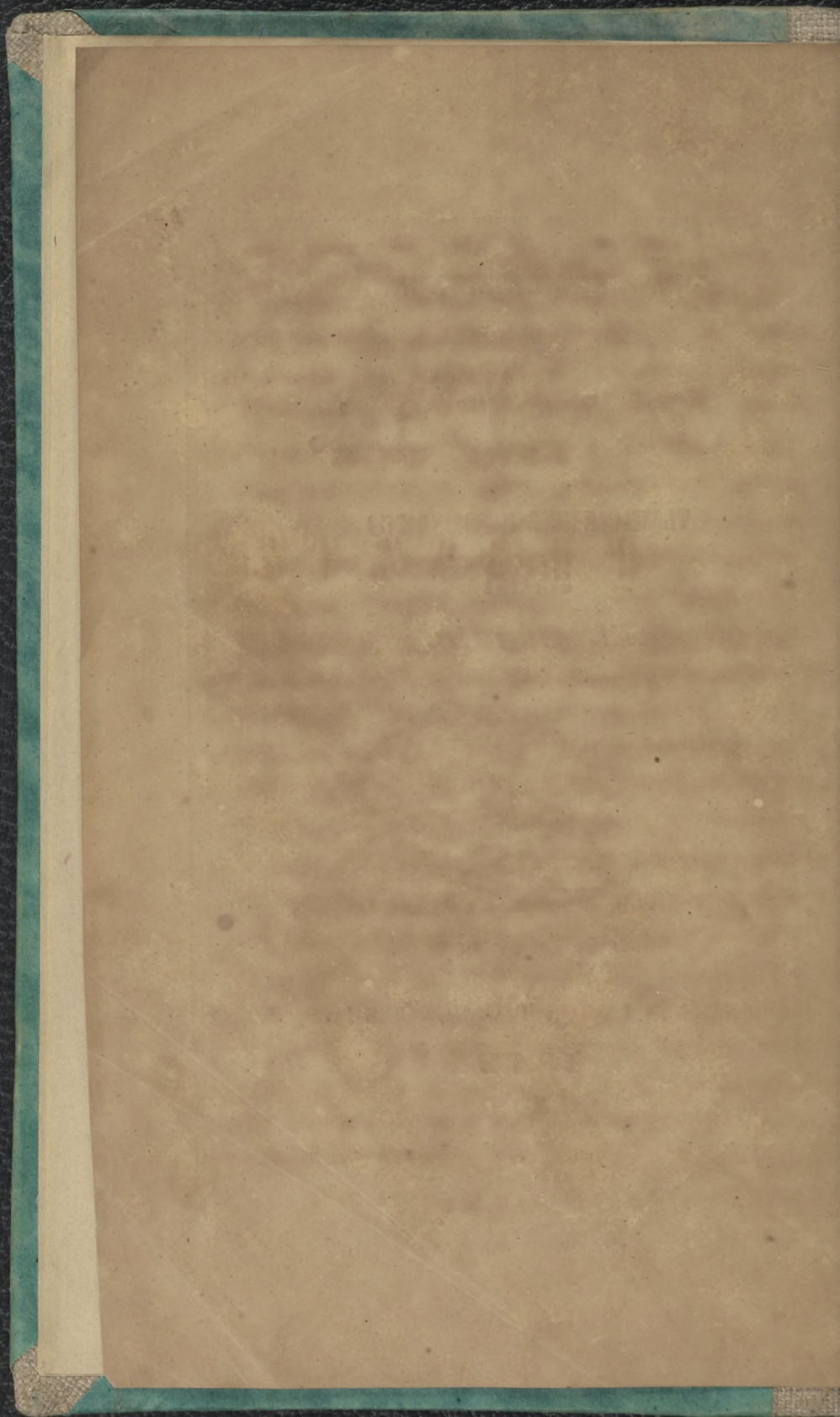


WILNO.

NAKŁAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.

1844.

13



P L A S Z C Z,

NO. 2211

PLASZCZ

TLUMACZENIE Z ROS-
SYJSKIEGO

Z DZIEŁ M. GOGOLA.



WILNO.



NAKLAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.

KSIĘGARZA I TYPOGRAFA SZCZĘ. BIAŁORUSKIEGO NAUKOW. OBR.

—
1844.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010361922

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po
wydrukowaniu Exemplanty prawem przepisanych w Komi-
tecie Cenzury. Wilno, 1844 r. d. 6. Lipca.

Sprawujący obowiązek Cenzora
J. Fok.



II. 149.221

1955 D 2/10

P Ł A S Z C Z .

Tłumaczenie z Rossyjskiego, z dzieł M. Gogola.



W Departamencie. . . ale lepiej nie wymieniać w jakim Departamencie. Nić ma nic obraźliwszego nad wszelkie rodzaje Departamentów, Pułków, Kancelarji, słowem: wszelkie rodzaje obowiązkowych stanów. Teraz już każdy w szczególności człowiek, myśli, że w osobie jego zelżonym jest ogół. Powiadają, że nie dawno podana była prośba

od jednego Kapitana — Sprawnika, (nie pamiętam jakiego miasta,) w której on jasno wyklada, że zatracają się ustawy Państwa i szanowne jego imię używaném bywa zupełnie napróżno. W dowod przyłączył do próśby ogromny tom jakiegoś romantycznego dzieła, gdzie co dziesięć stronic zjawia się Kapitan — Sprawnik, czasem nawet z pijaną zupełnie fizjognomią. Dla uniknienia przeto wszelkich nieprzyjemności, lepiej Departament, o którym rzecz idzie, nazwać prosto jednym Departamentem. I tak, w jednym Departamencie służył jeden urzędnik, (czynownik) nie bardzo okazały, wzrostu niskiego, trochę ospowaty, trochę ryżowaty, trochę nawet, jak się zdawało z wejrzenia, ślepowaty, z nie wielką na łbie łysiną, z marszczkami na obu policzkach, z barwą twarzy co się nazywa hemorojdalną. Coż robić? temu winien petersburgski klimat. Co się tyczy rangi, (bo u nas przede wszystkiém trzeba okazać rangę), on był tém, co to zowią wiecznym Tytułarnym Sowietnikiem, z którego, jak wiadomo, dosyć się już naszydzili i wyczerpnęli dowcipne koncepta różni autoro-

wie, mający chwalebny zwyczaj napastować tych, którzy się nie mogą odgryźć. Nazwisko urzędnika było Baszmakin. Samo już to miano oznacza, że ono musiało pochodzić od trzewika; (1) ale kiedy, w jakim czasie i jakim sposobem wzięło początek od trzewika, tego dociec nie podobna. I ojciec i dziad i szwagier nawet i wszyscy bez wyjątku Baszmakinowie chodzili w bótach, przemieniając tylko razy ze trzy w rok podnoski. Imię urzędnika było Akakij - Akakijewicz. Może czytelnik osądzi to imię nieco dziwnym i wyszukanym, lecz są jasne dowody, że go wcale nie wyszukiwano, a okoliczności same przez się tak zrzędziły, że za nie nie można było dać mu innego imienia, a stało się to tak. Rodził się Akakij-Akakijewicz w nocy, jeśli się nie mylę, między 22 i 23 Marca. Nieboszczka jego matka, urzędnicowa i bardzo dobra kobieta, zażądała, jak należy, ochrzcić zaraz niemowlę. Matka jeszcze leżała na łóżku, wprost przeciw drzwi, a przy niej, po prawej stronie, stał Kum

(1) Trzewik po rusku *baszmał*. (башмакъ).

Iwan Iwanowicz Jeroszkin, będący Stołnaczelnikiem w Senacie, najczcigodniejszy człowiek i Kuma Aryna Semenowna Bielobruszkowa, żona Kwartalnego-Oficera, rzadkich cnót kobieta. Pologowej dawali do wyboru trzy imiona dla jej synka: Mokkji, Sossji, Chozdazat. „Nie“ pomyślała nieboszczka: „te imiona coś nie wysmienicie brzmią. Dla uczynienia jej zadość rozłożyli kalendarz w drugim miejscu i znaleźli znowu trzy imiona: Tryfili, Duła i Warachasij. „To czysta męka“ przemówiła staruszka: „coż to za imiona, nigdy nawet o nich nie słyszałam. Niechby jeszcze Waradat, albo Waruch, a to Frefili i Warachasij.“ Przewrócili jeszcze stronicę, znaleźli: Pawsikachij i Wachtisij. „Widzę już rzekła starucha:“ że musi być takie jego przeznaczenie. Kiedy tak, niech się już nazywa ojcowskim imieniem. Ojciec był Akakij, niechaj i syn będzie Akakij.“ Tym tedy sposobem stał się Akakij-Akakijewicz. Dziecko ochrzczili: przyczem zapłakało i zrobiło taki grymas, jakby już przeczuwało, że będzie Tytularnym Sowieńnikiem. Otoż jakim sposobem wszystko się to stało. Uczy-

niliśmy tu o tém wzmiankę dla tego, żeby czytelnik mógł się dokładnie przekonać, iż była w tém konieczność, że przez żaden sposób nie można go było nazwać inném imieniem. Kiedy i w jakim czasie wszedł Akakji-Akakiewicz do Departamentu i kto go tam umieścił, o tém od nikogo nie mogłem się dowiedzieć. Wielu już przemieniło się Dyrektorów i różnych naczelników, a jego widziano zawsze na jedném i tém samym miejscu, w témże położeniu, w tymże samym obowiązku, tymże przepisującym; tak, że się później przekonano, iż on musiał się urodzić z przeznaczeniem do tego umyślném, w wice-mundurze i z łysiną na głowie. W Departamencie nie okazywano dla niego żadnego szczególnego szacunku. Stróże nie tylko nie powstawali ze swoich miejsc, kiedy przechodził, ale nawet i nie patrzali na niego, jak gdyby prosta mimo nich przelatywała mucha. Naczelnicy postępowali z nim jakoś chłodno, despotycznie. Którykolwiek Pomocnik Stołunaczelnika podsuwał mu prosto pod nos papiéry, nie mówiąc nawet: „przepiszcie“ albo: „ot ciekawa, porządna sprawka“ lub przynajmniej co-

kolwiek przyjemnego, jak to się dzieje w dobrze-ukształconych Sądownictwach. On brał, spojrzawszy tylko na papier, nie patrząc, kto mu go podłożył i czy miał do tego prawo, brał i wnet nastrajał się do przepisywania. Młodzi towarzysze najgrawali się i szydzili z niego, o ile wystarczało na to kancelaryjnego dowcipu; opowiadali przed nim różne powiastki; wymyślone o nim i jego gospodyni, siedemdziesięcio-letniej staruszce; mówili, że go ona bije, zapytywali, kiedy mają nastąpić ich zaślubiny; sypali mu na głowę papierki, nazywając je śniegiem. Ale słowa jednego nie odpowiadał na to Akakij-Akakijewicz, jak gdyby nikogo nie było przed nim. Nawet nie wywierało to wpływu na jego zatrudnienie: w ciągu wszystkich tych dokuczań, nie zrobił jednej w kopji swojej omyłki. Tylko kiedy już żarty miarę przechodziły, jeśli potraćano go w rękę i przeszkadzano zajmować się, wtenczas wołał: „Dajcie mi pokój? na co mię krzywdzicie?“ Było coś dziwnego w tych słowach i w głosie, jakim je wymawiał. Dawało się wtedy słyszeć coś tak przejmującego żalością, że jeden młody

człowiek, świeżo przybyły do Departamentu, — który, za przykładem drugich, pozwolił był sobie z niego poszydzić, — po owych słowach, wnet się cofnął, jak piorunem rażony, i od tego czasu zdało mu się, że wszystko postrzega w inném i zupełnie odmienném świetle. Nadprzyrodzona jakaś siła odepchnęła go od spółtowarzyszów, z którymi się zaznajomił, biorąc ich za porządnych, ukształconych ludzi. I długo potem, w najweselszych chwilach przedstawiał się jego wyobraźni Akakij niskiego wzrostu, z łysinką na czole, i przenikającymi wyrazy: „Dajcie mi pokój, na co mię krzywdzicie.“ W tych przenikających wyrazach, dawał się słyszeć dźwięk innych słów: „Jam brat twój.“ I zakrywał się wówczas ręką biędny młodzian; i często potem, w ciągu swojego życia, wzdrygał się, widząc, jak wiele jest w człowieku nie ludzkości, jak wiele się ukrywa grubego okrucieństwa pod wykwintną i wykształconą światowością, o Boże! nawet w tym człowieku, któremu świat zacność i uczciwość przyznaje!!

Wątpim, żeby można było znaleźć gdzie

człowieka, któryby tak jak nasz Akakij żył wyłącznie swym obowiązkiem. Mało powiedzieć, że służył pilnie, ochotnie, mało, ho on był namiętnie oddany służbie. Tam, w owém przepisywaniu, przedstawiał mu się różnobarwny, jakiś miły świat. Słodycz malowała się wtenczas na jego twarzy. Miał on niektóre litery faworytki, do których gdy przychodził, był jak nie swój: i uśmiechał się i stroił migi i pomagał ustami, tak, że z twarzy jego można było, zdaje się, wyczytać każdą, wyprowadzaną piórem literę. Gdyby w miarę przywiązania jego do służby, dawano mu nagrody, wtedy Akakji-Akakijewicz, z wielkiem swoim zadziwieniem, ujrzałby się może Radcą Stanu; lecz on, jak mówili dowcipnisie, jego koledzy, wysłużył tylko sprzążkę w petlicy i zyskał hemoroidy. Nie można z resztą, powiedzieć, żeby nie zwracano najmniejszej na niego uwagi. Jeden Dyrektor, dobry człowiek, chcąc go wynagrodzić za długą służbę, rozkazał poruczyć mu cokolwiek ważniejszego, niż zwyczajne przepisywanie; mianowicie, kazano, aby z ukończonój już sprawy, napisał jakąś odezwę do drugiego urzędu; ca-

ła rzecz zależała na przemienieniu address-tytułu i gdzie niegdzie słów z pierwszej osoby na trzecią. Poruczenie to zadało mu taką pracę, że spotniał zupełnie, tarł czoło i nakoniec odezwał się: „Nie, lepiej dajcie mi cokolwiek przepisać.“ Od owego czasu zostawiono go na zawsze przy kopjowaniu. Za sferą przepisywania, zdawało się nie już dla niego nie istnieć. Nie myślał on bynajmniej o swoim stroju: wicmundur miał na sobie nie zielony, ale jakiegoś ryżowato-siwego koloru. Kolnierzyk wąziutki, króciutki, tak, że chociaż szyja nie była za długą, jednak wychodząc z kolnierzyka, zdawała się nadzwyczajnie przeciągać, jak u owych gipsowych kociąt, kiwających głowami, których całe dziesiątki roznoszą na głowach ruscy cudzoziemcy. I zawsze cośkolwiek przylgnąć musiało do jego wicmunduru: to odrobina sianka, to jakaś niteczka; przytém miał on szczególną zręczność, idąc ulicą, naskoczył pod okno w samą chwilę, kiedy wyrzucano przezeń rozmaite śmiecie i z tej przyczyny zawsze prawie na kapeluszu nosił kawonowe i melonowe lupinki oraz inne podobne brudy.—



Nigdy w ciągu swojego życia, nie zwrócił uwagi na to, co się dzieje i przytrafia każdego dnia na ulicy; na co, jak wiadomo, zawsze popatrzy jego spółbrat młody bióralista, wprawny do takiego stopnia co do bystrości oka, że spostrzeże nawet, u kogo na drugiey stronie trotuaru odpruło się strzemiączko, a taka okoliczność wywołuje zawsze szyderski uśmiech na jego usta. Jeśli i patrzył na co Akakij-Akakijewicz, to widział na wszystkiém swoje piękne, gładkim charakterem nakręślone litery i chyba gdy bywało morda konia, sadowiąc się mu na plecach, nagle buchnie w twarz kłębem pary, — wówczas tylko sobie przypominał, że się znajduje nie na środku stronicy, lecz na środku ulicy. Przychodząc do domu, wnet siadał za stół, chleptał pośpiesznie barszcz, jadł kawał mięsa z cebulą, bynajmniej nie zważając na smak, jadł to wszystko z muchami i z tém co tylko Pan Bóg dał. Gdy uważał, że się już żołądek nadyma, wstawał od stołu, brał flaszeczkę z atramentem i przepisywał przyniesione z sobą papiéry; jeśli przyniesionych nie było, to kopjował umyślnie, dla wła-

snęj przyjemności, jakiegokolwiek; szczególnież jeśli papier zawierał odezwę, odznaczającą się nie pięknnością stylu, ale adresem do nowęj, ważnęj osoby.

Nawet w owe godziny, kiedy zupełnie gaśnie szare petersburskie niebo i cały tłum urzędniczy najadł się już i poobiadał, jak kto mógł, w miarę pobieranęj gaży i własnego smaku; kiedy wszystko już wypoczęło po departamentowém skrzypieniu piór, bieganinie, zajęciu się własnemi i cudzemi sprawami i tęp wszystkięp, co przyjmuje na siebie dobrowolnie, nawet nad potrzebę, nie pohamowany w zabiegach człowiek; kiedy Kancelliści śpieszą pogrążyć w zabawach zostający im czas: jeden dąży do Teatru; drugi na ulicę, tracić godziny na rozpatrywanie jakichkolwiek kapelusików; inny na wieczor, tracić je na komplementa pięknym paniępkom, gwiazdzie szcuplego urzędniczego koła; inny znowu, i to się trafia najczęścięp, idzie wprost do swojego kolegi, na czwarte lub trzecie piętro, do kwatery, składającęj się z dwóch nie wielkich izb, z przedpokojem i kuchnią i jaką bądź modną pretensyjką, lampą lub czępś podob-

ném, nabytém wielką ofiarą — wstrzymania się od obiadów, spacerów; słowem wówczas nawet, kiedy wszyscy bióraliści mają rozrywkę w małych pomieszkaniach swoich przyjaciół, grając w szturmowego wista, popijając szklankami herbatę z kopiejkowymi sucharkami, zaciągając się dymem z długich cybuchów, opowiadając podczas rozdawania kart jakiegokolwiek plotki, wyniesione z wyższego koła, którego nigdy, w żadnym stanie, nie może się wyrzec Rossjanin; albo, jeśli nie ma już o czém gadać, powtarzając odwieczną anegdotę o Komendancie, któremu powiedziano, że u konia pommiku Falkoneta podcięto ogon; — nawet i wówczas, kiedy wszyscy poszukują rozrywek, Akakij-Akakijewicz nie szukał ich nigdy wcale. Nikt nie mógł powiedzieć, żeby go widziano na jakimkolwiek bądź wieczorze. Napisawszy się do sytości, kładł się spać, zawczasu uśmiechając się na myśl dnia jutrzejszego: co to da P. Bóg przepisywać jemu na jutro?

Tak płynęło spokojnie życie człowieka, przy czterechset rublach gaży, umiającego przestawać na swym losie i dopłynęłoby może do głębokiej starości, gdyby po drodze ży-

cia nie były rozsypane przygody nie tylko dla Tytularnych, lecz nawet dla Tajnych, Rzeźwistych, Nadwornych i wszelkich Sowietników, a dla tych nawet, którzy nikomu nie dają rady i sami jój nie przyjmują od nikogo.

W Petersburgu znajduje się zacięty wróg pobierających czterechset rublową gażę, lub z małą od téj ilości różnicą. Wrogiem tym jest nie kto inny, tylko nasz północny mróz, choć, z resztą, utrzymują, że on służy na zdrowie. O dziewiątej godzinie z rana, to jest: wówczas mianowicie, kiedy się ulice pokrywają idącymi do Departamentów, zaczyna on dawać we wszystkie bez wyjątku nosy tak silne i kolące szczytki, że biédacy sami nie wiedzą, gdzie się z niemi podziać. Wówczas, kiedy nawet u zajmujących wyższe obowiązki boli łeb od mrozu i lzy toczą się z oczu, biédni Tytularni Sowietnicy nie mają czasami czém się ochronić. Cały ratunek na tém jedynie zależy, żeby w nędznym płaszczyku przebiec co najrychlej pięć, sześć ulic i potem natupać się porządnie nogami w przedpokoju, nim odtają tym sposobem wszystkie zmarzłe w drodze zdolności i uspo-

zobienia do prac obowiązkowych. Chociaż Akakij-Akakijewicz zawsze się starał, jak można najprędzej przebiegać tę odległość; od niejakiego atoli czasu uczuł, że mu za każdym razem nadzwyczajnie coś dopięka na plecach i grzbiecie, co obudziło w nim nakoniec podejrzenie: czy też się nie ukrywa jakie лихо w jego płaszczu? Dobrze go przepatrzywszy u siebie w domu, odkrył, że we dwóch, czy trzech miejscach, a mianowicie na plecach i grzbiecie, wyglądał naksztalt szarpi: sukno tak się wytarło, że świeciło dziurami, a podszewka dziwnym sposobem się rozlazła. Trzeba wiedzieć, że płaszcz Akakija-Akakijewicza także służył towarzyszom jego za przedmiot szyderstwa; odjęto mu nawet zacne imię płaszcza i nazywano kapotą. W samej rzeczy, kształt jego był bardzo dziwaczny: kołnierz co rok stawał się krótszy, bo z niego sztukowano inne części płaszcza, a sztukowanie nie okazujące talentu w krawcach, było jakoś workowate i pomarszczone. Widząc, o co chodzi, Akakij-Akakijewicz zdecydował, że płaszcz trzeba będzie zanieść do krawca Pietrowicza, mieszkającego gdzieś na czwartém pią-

trze na które z trudem się wdzierano po ciemnych schodach. Ten lubo miał krzywe oko i twarz piegowatą, zajmował się jednak dość porządnie poprawianiem urzędniczych i wszelkich innych płaszczów i fraków, ma się rozumieć wtenczas, kiedy był trzeźwy i nie roił w głowie czego innego. Chociaż o tym krawcu nie należałoby wiele mówić; lecz gdy taki jest zwyczaj, że w powieści charakter każdej osoby powinien być starannie skróślony; coź robić, dawajcie mi choćby Pietrowicza. Nazywał się on wprzód prosto Hryhorji i był chłopem jakiegoś tam pana; Pietrowiczem zaś nazwał się wtedy, gdy otrzymał uwolnienie i silnie zaczął łykać we dni świąteczne, wprzód w same tylko uroczyste, a później i we wszystkie cerkiewne, gdzie tylko stał w kalendarzu krzyżyk. W tym względzie wiernie naśladował pradziadowskie zwyczaje, a spór wiodąc z żoną, nazywał ją światową kobietą i niemką. Ponieważ zajęknęliśmy się na żonie, wartoby też i o niej namienić coś więcej; lecz, ku wielkiemu naszemu żalowi, nie była to głośna kobieta; wiadzano o niej tylko, że była żoną Pietrowi-

cza, że nosiła czépek, nie chustkę, a z piękności swojej nie mogła się pochlubić; — Jedni tylko żołnierze gwardji, przy spotkaniu się, zaglądali jéj pod czépek, mrugnawszy wąsem i wydając przytém jakiś osobliwszy wykrzyk.

Idąc schodami, prowadzącemi do Pietrowicza, które, (należy oddać sprawiedliwość), były całkiem umaszczone wodą, pomyjami i wskrós przejęte tym spirytualnym zapachem, co tak wyjada oczy, a (jak wiadomo) znajduje się przywiązany do wszystkich ciemnych schodów petersburgskich domówstw; idąc temi schodami, Akakij-Akakijewicz rozmyślał nad tém, ile to będzie wymagać Pietrowicz za robotę i w skutek tego rozmysłu postanowił, nie dawać więcej nad dwa ruble. Drzwi były otwarte, bo gospodyni, gotując jakąś rybę, tak zadymiła kuchnię, że w niej już i tarakanów dojrzeć nie można było. Akakij-Akakijewicz przeszedł kuchnię, nie postrzeżony przez gospodynię domu, i wstąpił do izby, w której na szerokim, drewnianym, nie malowanym stole siedział Pietrowicz, podkurezywszy nogi; jak Pasza turecki. Nogi, wedle zwyczaju siedzących przy robocie kraw-

ców, były nagie, i naprzód wzrok Akakija-Akakijewicza padł na wielki, dobrze mu znany palec, z karykaturalnym paznogciem, grubym i mocnym, jak skorupa żółwia. — Na szyi Pietrowicza wisiał motek jedwabiu, na kolanach leżała jakaś starzyzna. Od trzech już minut zawlekał on nić w uszko igielne, a że jakoś nie udawało się, mocno był rozdaśany i na ciemność i na samą nawet nitkę, mrużąc półgłosem: „Nie lezie, i dojada mi tём, niegodziwa!!“ Nie przyjemnie było Akakijemu-Akakijewiczowi, że nadszedł na chwilę gniewu Pietrowicza: lubił bowiem umawiać się z nim wówczas, kiedy ten był nieco podochocony, albo, (wedle wyrażenia żony), „oczadził się siwuchą, djabeł jednooki.“ Będąc w tym błogosławionym stanie, Pietrowicz ochotnie ustępował z ceny, godził się od słowa, nawet klaniał się i dziękował; a choć potem przychodziła żona skarżyć się, że mąż tylko po pijanemu tak tanio się ugodził, naddać, bywało, dwudziestówkę i rzecz skończona. — Teraz, jak się zdawało, Pietrowicz był trzezwym, a po trzezwemu zazwyczaj uparty, nie dający się namówić i krojący na djabeł wić

jakie ceny. Zrozumiał to Akakij-Akakijewicz i chciał odejść, ale już się rzecz poczęła i nie można było się cofać. Pietrowicz ciekawie na niego przymrużył jedyne swe oko i Akakij-Akakijewicz mimowolnie wyrzekł: — „Pozdrawiam cię, Pietrowiczu!” — „Pozdrawiam i was, Mości Panie!” — odpowiedział Pietrowicz i skosił oko na ręce Akakija-Akakijewicza, chcąc dójrzeć, jakiego rodzaju przynosił mu robotę.

„A ja ot do ciebie, Pietrowicz, tego...” Wiedzieć należy, że Akakij-Akakijewicz wyrażał się po większej części przyimkami, przysłówkami i nareszcie takimi cząstkami mowy, które żadnego nie mają znaczenia. Jeśli zaś rzecz była bardzo trudna, miał nawet zwyczaj całe nie kończyć frazesu, tak, że bardzo często, zacząwszy od słów: „to istotnie, zupełnie, tego...” urywał, zapominał się, nie dalej nie szło, a on myślał, że powiedział już wszystko.

Coż takiego? — powiedział Pietrowicz, — i zaraz obejrzał jedynym swoim okiem cały jego wicemundur, zaczynając od kołnierza, do rękawów, plec, faldów i t. d. co wszystko było mu znajome, bo wyszło z wła-

snych rąk jego. Taki to zwyczaj u krawców; powszechna reguła przy spotkaniu.

„A ja ot tego, Pietrowicz.... Płaszcz, sukno... ot widzisz, wszędzie, w niektórych miejscach mocne, troszeczkę zapyliło się i zdaje się niby stare, a ono nowe: a ot w jednym miejscu troszeczkę tego.., na grzbiecie i ot na plecach jeszcze troszeczkę się rozszło, widzisz ot i jeszcze trochę,— widzisz, ot i wszystko. I roboty nie wiele..“

Pietrowicz wziął kapotę, rozłożył ją na stole, przepatrywał długo, kręcił głową, ściągnął rękę ku oknu po okrągłą tabakierkę z portretem jakiegoś generała, (jakiego mianowicie niewiadomo, ponieważ w miejscu, gdzie była twarz, przedlubano palcem i zaklejono kwadratowym kawałkiem papieru). Zażywszy tobaki, Pietrowicz rozpiął kapotę na ręku, rozpatrzył ją przeciw światłu i znowu potrząsnął głową. Potem wywrócił ją na stronę podszewki, znów pokręcił głową, znowu zdjął wierzch z generałem, zaklejonym papierkiem, i pociągnąwszy w nos tabaki, zamknął, sprzątnął tabakierkę, i nakoniec powiedział:

„Nie, już tego nie można naprawić: to nie nie warto!“

Na te słowa, Akakijemu-Akakijewiczowi zadrgało serce. „Dla czegoż nie można, Pietrowiczu?“ przebąknął błagającym prawie głosem dziecka: „wszak tylko na plecach przetarło się, wszakże u ciebie są kawałki...“

„Kawałki można znaleźć, kawałeczki znajdują się,“ — rzekł Pietrowicz: — „ale przysztukować nie podobieństwo: zgniłe zupełnie sukno, trącisz tylko igłą, a tu wnet i rozłazi się na wszystkie strony.“

„Niech sobie się rozłazi, a ty zaraz na to łateczkę.“

„Ależ łateczki nie ma na czém kłaść, nie ma do czego jój przymocować, strasznie wynoszone. Nazywa się to tylko sukmem, a niech no podmie wiatr, wnet rozleci się w szmaty.“

„Nu, ale przymocujesz. Jakże, tak istotnie, tego!...“

„Nie,“ odrzekł stanowczo Pietrowicz: nie można nic zrobić z tego. To nędzota! Lepiej jak nastąpi zima, nadrzyjcie z płaszcza swego onuczek, bo pończochy nie tyle grzeją. To niemcy wymyślili pończochy, żeby brać jak naj-

więcej pieniędzy; (Pietrowicz lubił przy zdarzonej okoliczności ukłuć Niemców); a płaszcz, widno, przyjdzie już wam nowy sprawić.“

Na wyraz „nowy“ u Akakija - Akakijewicza zaćmiło się w oczach i wszystko, co było w izbie, zaczęło się przed nim plątać. Widział on jasno jednego tylko jenerała z twarzą zaklejoną papierkiem, znajdującego się na wierzchu tabakiery Pietrowicza. „Jako, nowy?“ rzekł po niejakiój pauzie, ciągle jeszcze jakby we śnie: „wszak ja nie mam na to pieniędzy?

„Tak nowy“ rzekł z barbarzyńską obojętnością Pietrowicz.

„No, a gdyby już nowy, to jakby on, tego...“

„To jest, co ma kosztować?“

„Tak.“

„A! trzy z górą półseciny trzeba będzie“ — rzekł Pietrowicz i zamknął poważnie usta. Lubił on bardzo silne efekta, lubił nagle czémkolwiek przerazić i potém spojrzeć z ukosa, jaką przerażony zrobi minę.

„Półtorasta rubli za płaszcz!“ wykrzyknął biędny Akakij-Akakijewicz, piérwszy mó-

że raz od urodzenia, bo się odznaczał cichością głosu.

„A tak“ — powiedział Pietrowicz: „ale to jaki taki jeszcze płaszcz. Gdyby dać kołnierz z kuny, a podszyć pelerynę jedwabną materją; to i do dwóchset dójdzie.“

„Pietrowiczu! bądź łaskaw!“ — mówił Akakij-Akakijewicz błagalnym głosem, nie słysząc i starając się nie słyszeć słów Pietrowicza i wszystkich jego efektów: „bądź łaskaw, napraw jakkolwiek, żeby choć trochę mnie jeszcze posłużył.“

„Nie, nie, i praca byłaby próżna i pieniądze darmo stracone“ — odrzekł Pietrowicz. — Po tych słowach Akakij-Akakijewicz wyszedł, przybity zupełnie. A Pietrowicz, po jego odejściu, stał jeszcze długo, poważnie ścisnąwszy usta nie biorąc się do roboty, pelen zadowolenia, że i siebie nie uniżył sztukę krawiecką podniósł.

Akakij-Akakijewicz wyszedł na ulicę, jak senny. „Takowe to są rzeczy takie“ mówił sam do siebie: „a ja doprawdy i nie myślałem, żeby to wyszło, tego...“ a potem, po niejakiem milczeniu, dodał: „tak, ot jak! na koniec ot co się stało! a ja doprawdy i do-

myślać się nie mogłem, żeby to było tak.“—
Zatém nastąpiło znowu długie milczenie, po
którem wyrzekł: „więc tak to! ot jakie już
zupelnie niespodziane tego..., tegoby za nic...
taka to okoliczność!“ Wypowiedziawszy to
wszystko, zamiast iść do domu, udał się
w przeciwną stronę, nie wiedząc co robić.
Po drodze trącił go silnie całym bokiem ko-
miniarz i zaczernił mu plecy; z wierzchołka
budującego się domu zsyłała się na niego peł-
na czapka wapna; a on tego nie postrzegł
nawet; wtedy już, kiedy naskoczył na Budni-
ka, który postawiwszy przy sobie swoją ha-
lebardę, wytrząsał z różka na mozolisty swój
kulak tabakę, wtenczas dopiero nieco się o-
cucił, i to nie piérwój aż gdy Budnik zawo-
łał: „Czego leziesz w same ryło, czy ci nie
staje trotuaru?“ To znagliło go obejrzyć się i
zawrócić do domu. Tam dopiero zaczął po-
rządkować myśli, przekonał się dotykalnie o
obecnym swoim stanie i zaprowadził z sobą
rozmowę już nie urywkową, lecz rozważną
i otwartą, jak z doświadczoneym przyjacielem,
któremu można poufale zwierzyć najdroższe
sercu sprawy. „Nu, nie“ — powiedział Aka-

kij-Akakijewicz: „teraz z Pietrowiczem nie można poradzić: on teraz tego, żona widno musiała go skubnąć. A ot lepiej pójdę do niego w Niedzielę rano: on po Sobocie będzie kosił okiem i zaspawszy się, zechce podchmielić sobie, a żona pieniędzy nie da, wówczas ja mu grzywienniczek tego w ręce, on i namówić da się wówczas i tego...“ Tak rozsądził z sobą rzeczy Akakij-Akakijewicz, uzbroił się odwagą i czekał już z dobrą myślą piérwszój Niedzieli; a gdy ten dzień nastąpił, ujrzawszy zdaleka, że żona Pietrowicza wyszła z domu, udał się wprost ku niemu. Pietrowicz po Sobocie rzeczywiście kosił okiem, miał zwieszoną głowę, był zaspany; ale pomimo to, skoro tylko zasłyszał o co idzie, wnet go jakby djabeł trącił. „Nie można“ — rzekł. — „każcie uszyć nowy.“ Tu wnet Akakij-Akakijewicz podsunął mu do ręki grzywienniczek. — „Dziękuję! pokrzepię się trochę za wasze zdrowie“ — powiedział Pietrowicz: — „a co się tyczy płaszcza, bądźcie spokojni: wasz płaszcza na nic się nie zdał; a nowy uszyję wam, zobaczycie! trudu nie pożałuję.“

Akakij-Akakijewicz coś jeszcze bąknął o

naprawie, ale Pietrowicz nie zasłyszał i ciągnął dalej: „już nowy uszyję wam najniezawodniej, polegajcie na mnie, przyłożę starania. Nawet można będzie, jak teraz moda, żeby kołnierz zaszpił się srebrnemi kłamrami, aplikie.“

Teraz to już zrozumiał Akakij-Akakijewicz, że się nie obejdzie bez nowego płaszcza i upadł zupełnie na duchu. Jakże tu, za co, za jakie pieniądze sprawić? Prawda, możnaby nieco rachować na następną przed Świętami nagrodę, lecz już wprzód ułożono, jak się ma rozporządzić temi pieniędzmi. Należało zaopatrzyć się w nowe spodnie, wypłacić dług szewcowi za zrobienie do starych cholew nowych przyszew i kazać uszyć trzy koszule, a także sztuk ze dwie takiej bielizny, którą nieprzyzwoicie wymieniać w drukowanej książce, słowem: wszystkie pieniądze przeznaczone już były na nieodbite potrzeby; i gdyby nawet Dyrektor do tego stopnia był łaskaw, żeby zamiast czterdziestu rubli, naznaczył nagrody czterdzieści pięć, albo pięćdziesiąt, i w takim razie jeszcze mogąca pozostać od koniecznych sprawunków reszta, byłaby małeńka, stanowiąca w płaszczowym kapitale —

drobniutką kroplę w morzu. Chociaż, zresztą, Akakij-Akakijewicz wiedział, że Pietrowicz lubi niekiedy zakrajać, djabeł więc, jak niezmierne ceny, tak, że bywało i sama żona nie może się wstrzymać od wykrzyknienia: „Co ty głupcze! oszalałeś czy co? czasem za nic umawia się, a teraz nadało mu licho prosić tyle, ile i sam nie wart.“ Chociaż te okoliczności przekonywały go poniekąd, że Pietrowicz zgodzi się i za ośmdziesiąt rubli; ale z kądże wziąć i te ośmdziesiąt rubli? Połowę, to jeszcze można byłoby znaleźć, połowaby się znalazła, nawet cokolwiek i więcej; ale z kąd wziąć drugą połowę? Piérwój jednak trzeba czytelnikowi wiedzieć, z kąd miała się wziąć piérwsza połowa. Oto: Akakij-Akakijewicz miał zwyczaj, z każdego expensującego się rubla, odkładać po groszu, i wrzucać do niewielkiej zamczystej skrzyneczki, której wierzch był umyślnie na to przedziurawiony. Co półroczce rewidował uzbieraną summę i zmieniał ją na srebro. Oddawna już spełniał to punktualnie i w przeciągu lat kilku złożył tym sposobem kapitał, wynoszący przeszło czterdzieści rubli. I tak połowa była

w rękę; ale z ką� wziąć drugą połowę, z ką� wziąć drugie czterdzieści rubli? Akakij - Akakijewicz myślał, myślał i postanowił: zmniejszyć zwyczajne wydatki, przynajmniej w przeciągu jednego roku, a mianowicie: nie pić wieczorem herbaty; nie palić wieczorem świecy, a jeśli się zdarzy robota, iść do gospodyni i pracować przy jęj świeczce; idąc ulicą, stapać po bruku jak można najlżej i najostrożniej, prawie na palczykach, żeby się nie prędko zdierały podnoski; jak można najrzadziej dawać praczee do mycia bieliznę, a dla ochronienia jęj od brudu, przychodząc do domu, zaraz zdejmować i zostawać w jednym tylko bawelnianym szlafroku, bardzo już starym, oszczędzanym przez sam czas nawet. — Wyznać należy, że z początku było mu nieco trudno przyzwyczajać się do takiej wstrzeźmiewliwości; lecz potęm weszło to jakoś we zwyczaj, nawet głód wieczorny mu nie dolegał, i w nagrodę za to wszystko nasyczał się duchownie, ciągle pielęgnując w swych myślach ideę przyszłego plaszca. Odtąd samo jego istnienie stało się jakoś zupełniejszém, jak gdyby już nie był sam jeden, jak gdyby

z nim obcował zawsze ktoś drugi, jak gdyby się on ożenił, lub znalazł miłą przyjaciółkę, która się zgodziła towarzyszyć mu w wędrówce po drodze życia, — tą żoną, tą przyjaciółką był nie kto inny, jak tenże sam, grubo watowany, z mocną do nie znoszenia podszewką, płaszcz. Tém się jakoś ożywił, nabył mocniejszego charakteru nawet, jako człowiek dążący już do raz zamierzonego celu. Z twarzy i z postępków jego znikły same przez się; wątpliwość, nieufność, słowem: wszystkie chwiejące się, niepewne, nie określone rysy. — Niekiedy ogień błyskał mu w oczach, w głowie nawet migąły najzuchwalsze, najodważniejsze pomysły: czy nie przyszyćby w samą rzecz kuni kołnierz? Dumania o tém omal go nie wprawiły w roztargnienie.

Razu jednego, przepisując jakiś papier, mało co się nie omylił, tak, że prawie w głos wykrzyknął: „ach!“ i przeżegnał się. Co miesiąc, choć raz przynajmniej, zachodził do Pietrowicza, pogadać o płaszczu, gdzie lepiej kupić sukna i jakiego koloru i na jaką cenę, a zawsze powracał do domu choć nie-

co zafrasowany, ale nie mniej też i rad z siebie mając ciągle w myśli, że nastąpi nakoniec ów czas, kiedy się wszystko zakupi i kiedy płaszcz będzie zrobiony. Rzecz zbliżała się do kresu przedź, niżeli mógł się spodziewać. Dyrektor, nad wszelkie oczekiwania, nazначył Akakijemu-Akakijewiczowi nie czterdzieści i nie czterdzieści pięć, ale całych sześćdziesiąt rubli: czy to przeczuwał, że Akakijemu-Akakijewiczowi potrzebny płaszcz, czy też stało się to trafem, nie wiadomo; dość, że mu przybyło przez to niespodziewanych dwadzieścia rubli. Ta okoliczność przyspieszyła bieg rzeczy. Jeszcze dwa lub trzy miesiące wstrzemięźliwości i Akakij-Akakijewicz przyzbióra ośmdziesiąt rubli. Serece jego, zazwyczaj bardzo dotąd spokojne, poczęło bić gwałtownie. Tegoż dnia udał się z Pietrowiczem do kram, tam kupili bardzo dobrego sukna, i nie dziw, bo od pół roku już o tém rozmyślali i rzadki miesiąc nie zachodzili do kram, wypytywać o cenach; ale za to sam nawet Pietrowicz powiedział, że nie może być lepsze sukno. Na podszewkę nabrali wprowadzie mamisu, jednakże w tak do-

brym gatunku, że, wedle słów Pietrowicza, lepszym był od jedwabnej materji a na oko różniejszym i glansowniejszym. Kuny nie kupili, bo w istocie zbyt była drogą, lecz natomiast wyszukali najlepszego kota, kota, który zdaleka mógł wyśmienicie ująć za kunę. Pietrowicz krzątał się koło roboty płaszcza ze dwa tygodnie, dla tego, że wiele było pikowania, inaczej bowiem, prędzjby nierównie skończył. Za robotę wziął Pietrowicz dwanaście rubli—mniżej nie było można: wszystko należało szyć jedwabiem, podwójnym drobnym ścięgiem, a po każdym ścięgu Pietrowicz przesuwiał własne swe zęby, wyciskając niemi rozmaite figurki. Było to... trudno oznaczyć w jaki dzień mianowicie, ale zapewne w dzień najuroczystszy w życiu Akakija-Akakijewicza, kiedy Pietrowicz przyniósł nakoniec płaszcz. Przyniósł on go zrana, przed samą porą zwyczajnego wyjścia do Departamentu. Stosowniejszym czas przyniesienia płaszcza, być nie mógł: zaczynały się już silne mrozy a jeszcze silniejszych można się było spodziewać. Pietrowicz stawił się z płaszczem, jak na porządneho krawca przystało. Wyraz jego twa-

rzy, był tak wiele znaczącym, że Akakij-Akakijewicz nigdy jeszcze podobnego nie widział. Malowała się na niej duma z dokonanego dzieła, którym zapelniał przepaść, oddzielającą krawców, co naprawują i podkładają podszewki, od tych, którzy szyją nowe suknie. Wyjął płaszcz z chustki od nosa, tylko co wziętej od praczki; potem chustkę tę złożył i schował do kieszeni, dla wiadomego użycia. Po wyjęciu płaszcza spojrział hardo, i trzymając go oburącz, zręcznie narzucił na plecy Akakija-Akakijewicza; potem ociągnął, wyrównał z tyłu, rozwarł na przodzie i znowu otulił. Akakij-Akakijewicz, jako człowiek podeszły, chciał spróbować na rękawy; Pietrowicz pomógł i w rękawy włożył — pokazało się, że i na rękawy był dobry. Słowem: cały płaszcz sporządzony był wyśmienicie i jak raz w miarę. Pietrowicz nie zapomniał przy tém zdarzeniu powiedzieć, że on tak tylko, dla tego, że mieszka bez szyldu, nie przy wielkiej ulicy a prócz tego oddawna zna Akakija-Akakijewicza, tak tanio umówił się, na Newskim zaś Prospekie, wziętoby od niego za samą robotę siedemdzie-

siąt pięć rubli. Akakij-Akakijewicz nie chciał wchodzić o to z Pietrowiczem w dysputę, lękał się bowiem wszelkich ogromnych summ, jakimi Pietrowicz lubił mydlić oczy. Rozplącił się z nim, podziękował i zaraz wyszedł w nowym płaszczu do Departamentu. Pietrowicz pobrnał wślad za nim i zastanowiwszy się na ulicy, długo jeszcze poglądał zdaleka na płaszcz, a potem zboczył umyślnie w drugą stronę, żeby przejść szybko krzywy zaułek, zabiedz znów na ulicę i spojrzeć jeszcze raz na swój płaszcz z drugiej strony, to jest prosto w twarz. Tym czasem Akakij-Akakijewicz szedł ze świątecznym uczuciem w duszy. Czuł on w każdej sekundzie, że na plecach ma nowy płaszcz, i z wewnętrznego zadowolenia, kilka razy nawet się uśmiechnął. W rzeczy samój, dwie korzyści: jedna że ciepło, druga że pięknie. Drogi bynajmniej nie uważał i ocucił się aż w Departamencie. Zdjął płaszcz w sieni, zewsząd obejrzał i poruczył szczególnój pieczołowitości szwajcara. Niewiadomo jakim sposobem zaraz się dowiedziano w Departamencie, że Akakij-Akakijewicz ma nowy płaszcz, i że już kapota

na wieki zniknęła. Tejże chwili wybiegli wszyscy do sieni oglądać nowy płaszcz Akakija-Akakijewicza i powróciwszy zaczęli mu winszować, pozdrawiać go, tak; że Akakij-Akakijewicz naprzód się tylko uśmiechał, a potem zaczął się nawet wstydzić. Gdy go zaś ostąpiono i wmawiano mu, że nowy płaszcz należy spryskać i że przynajmniej powinien zaprosić wszystkich na wieczor; Akakij-Akakijewicz zbił się z tropu zupełnie, nie wiedział, co ma począć, co odpowiedzieć i jak się wymawiać: zarumieniony cały, po chwili, zaczął dość prostodusznie przekonywać, że to wcale nie nowy płaszcz, że to tak sobie, że to płaszcz stary. Nakoniec jeden bióralista, jakiś nawet pomocnik Stołunaczelnika, zapewne dla pokazania, że bynajmniej nie hardy i żyje nawet grzeczniej niższymi od siebie, rzekł: „bądź co bądź, już ja za Akakija-Akakijewicza sprawię wieczorek i proszę dziś do mnie na herbatę; wszak to jak na umyślenie, dziś moje imieniny.“ Obecni, naturalnie, tuż powinszowali pomocnikowi Stołunaczelnika i z ochotą przyjęli wezwanie. Akakij Akakijewicz zaczął się wymawiać, ale

zaczęto go przekonywać, że to niegrzecznie, że to wstyd i hańba, a tak już nie mógł się wykręcić. Zresztą i sam uczuł potem przyjemność, wspomniawszy, że będzie miał zręczność nawet wieczorem przejść się w nowym płaszczu. Calutki ten dzień był dla Akakija-Akakijewicza najuroczystszym świętem. Powrócił do domu w najszcześniejszym usposobieniu. Zdjął płaszcz, obejrzał znowu i nasyciwszy się widokiem sukna i podszewki, powiesił ostrożnie na ścianie; poczem dobył dawniejszą swoją kapotę, zupełnie już podartą, porównał i sam się nawet zaśmiał, tak wielką znalazł różnicę. Długo potem przy obiedzie ciągle się jeszcze uśmiechał, gdy mu przychodził na myśl stan smutny jego kapoty. Poobiadował wesoło i nie już nie pisał po obiedzie, a tak sobie poroskoszował trochę na pościeli, nim ściemniało. Zatem, nie odkładając, ubrał się, włożył na plecy płaszcz i wyszedł na ulicę. Gdzie mianowicie mieszkał ów Sollenizant, co go zaprosił do siebie, z wielkim żalem naszym, objaśnić nie możemy: pamięć zaczyna nas zdradzać i wszystko, co ma w sobie Petersburg,

jego ulice i domy tak się poplątały w naszej głowie, że z niej trudno wydobyć cośkolwiek z odrębną fizjognomiją. Jakkolwiek bądź, przynajmniej nie podpada wątpliwości, że pomieszkanie sollenizanta było w lepszej części miasta, a tém samém już weale nie blisko od Akakija - Akakijewicza. Naprzód musiał przechodzić puste, nędznie oświetlone ulice; lecz, w miarę zbliżania się ku celowi swojej wędrówki, występował na coraz żywsze, ludniejsze i rześciej oświetlone. Częściej się ukazywali tu i ówdzie idący pieszo, trafiały się i elegantki Damy i mężczyźni z bobrowymi kołnierzami; rzadziej się przesuwały Wańki, w drewnianych plecionych saniach, utykanych złoconym gwoździem, a natomiast mijali się sami Lichacze 1) w malinowych axamitnych czapkach, na lakierowanych saniach z niedzwiedniami, i leciały ulicą, gwizdząc kołami po śniegu, karéty ze strojnemi kozły.

1) *Wańka, Lichacz* — obie te nazwy dają się woznicom, stojącym na ulicach do najęcia. Pierwsze od imienia *Iwan*, a drugie od przym. *lichoj* (*tęgi, dzielny, sprytny*).

Akakij-Akakijewicz na to wszystko spoglądał jak na nowość: od kilku już lat bowiem nie wychodził wieczorem na ulicę. Z ciekawością się zastanowił przed oświeconém oknem magazynu, popatrzeć na rycinę, wyobrażającą piękną kobietę, w chwili zdjęcia trzewika i obnażenia przez to całe nieszpętnej nóżki, a po za nią z za drzwi drugiego pokoju mężczyznę z bokobrodami i piękną hiszpanką. Akakij-Akakijewicz potrząsł głową, uśmiechnął się i pociągnął dalej. Jaki był powód jego uśmiechu, czy to, że napotkał rzecz wcale nieznaną, której jednak w każdym kryje się jakieś przecucie, czy może pomyślał, jak wielu innych jego współbraci, w następnym sposób: „no, ci francuzi! co tu gadać! już jeśli zacheą cokolwiek tego, tak już i jest tego...“ A może nawet i tego nie pomyślał — wszakież nie podobna wleźć do duszy człowieka i zobaczyć wszystko, co on tam myśli. Nakoniec przywlekł się do domu, w którym mieszkał pomocnik Stołunaczelnika. Ten żył na wielką skalę: zajmował drugie piętro, na schodach świeciła latarnia. Wszedłszy do przed-

pokoju, Akakij-Akakijewicz ujrzał na podłodze długi rząd kaloszków a wśród nich samowar, z szumem wyziewający parę. Po ścianach wisiały płaszcze, niektóre z bobrowymi nawet kołnierzami albo z axamitnemi wyłogi. Za ścianą był szum i gwar, głośnieńj jeszcze odbity przy otwarciu drzwi, z których wyszedł lokaj z tacą, niosąc na niej wypróżnione szklanki, mlecznik i kosz sucharków. Widać że goście dawno już się zebrali i wypili po pierwszj szklance herbaty. Akakij-Akakijewicz sam powiesił swój płaszcz i wszedł do pokoju. Tu razem mignęły przed nim świeće, goście, fajki, kartowe stoliki a przykro uderzyły mu słuch ze wszelkich stron szumiąca rozmowa i stukot przesuwanych krzesel. Bardzo niezręcznie zastanowił się na środku pokoju, szukając w myśli, co dalej począć. Lecz wnet go spostrzegli, spotkali z okrzykiem, ruszyli wszyscy do przedpokoju i znowu obejrzelii płaszcz. Akakij-Akakijewicz chociaż nieco się zmięszal, lecz jako człowiek szczery, widząc że wszyscy chwałą płaszcz, nie mógł się nie cieszyć. Potem, ma się rozumieć, wszyscy porzucili

i jego i jego płaszcz a zasiedli, wedle powszechnego zwyczaju, przygotowane do wista stoliki. Szum, gwar i tłum ludzi, wszystko to razem zmieszane, było jakimś cudnym zjawiskiem dla Akakija-Akakijewicza. Sam nie wiedział, co począć z sobą, gdzie podziąć ręce, nogi i całą figurę; nakoniec przysiadł do grających, patrzył w karty, zaglądał temu i owemu w twarz i po chwili zaczął poziewać, nudzić się, tém bardziej, że już dawno przeszedł czas, w którym zwykle kładł się spać. Chciał był już pożegnać gospodarza, lecz go nie puścili, mówiąc, że za zdrowie płaszcza nieodmiennie należy spełnić kielich szampa. W godzinę zastawiono wieczerzę: podano winogret, cielęcinę na zimno, paszlet, pirożki z cukierni i szampańskie wino. Zmuszono Akakija-Akakijewicza spełnić dwa kielichy; po wypiciu których uczuł, że w izbie poweselało, jednakże nie mógł zapomnieć, iż już dwunasta godzina i dawno pora do domu. Lękając się dalszego zatrzymywania, umknął po cichu za drzwi, znalazł w przedpokoju płaszcz, który z boleścią ujrzał walający się na podłodze, otrząsł, zdjął z niego wszelkie

śmiecie, wdział na plecy i spuścił się po wschodach na ulicę. Jeszcze było światło. Niektóre kramy drobnostkowej sprzedaży, te centra zabaw sług dworskich i różnego rodzaju ludzi, były jeszcze otwarte; inne zaś, chociaż przymknięte, przekonywały długą strugą światła, cisnącą się w szparę drzwi, że się w nich mieści jeszcze towarzystwo, i że dworne dziewczęta i chłopcy, jeszcze nie skończyli posiedzenia i rozmowy, wprawiając panów w różne domysły o miejscu swego pobytu. Akakij - Akakijewicz szedł w wesołym humorze; jakoś nawet podbiegł, (nie wiadomo dla czego), za jakąś Damą, która błyskawicą mignęła przed nim, a u której każda część ciała nadzwyczajny jakiś miała ruch; jednakże wnet się zastanowił i postąpił wolniej, pierwój, sam nawet dziwiąc się chyżości, która na niego nie wiedzieć skąd przypadła. Wkrótce nasunęły mu się owe ponure ulice, co nie tylko nocą, lecz dniem nawet nie są wesołe. Tu teraz było bardziej jeszcze głucho i samotniej: latarnie błyskały rzadziej — (mniejszą, widać, proporcję wydawano oleju); ukazywały się drewniane do-

my, zagrody; nigdzie ani duszy; białł tylko śnieg na ulicach i smutno czerniały pozamykane okiennicami niziutkie, uspięone łaczużki 1). Nakoniec zbliżył się ku miejscu, gdzie przerzięta ulica ginęła w obszarze dzikim stepem rozległego placu, z ledwo dojrzanemi po drugiej jego stronie domami.

Daleko, Bóg wie gdzie, z jakiejś, stojącej, zdaje się, na krańcu świata, budki, błyskało światelko. Wesolość Akakija-Akakijewicza, znacznie się tu jakoś zmniejszyla. Wstąpił na plac z mimowolną trwożą, jak gdyby coś nie dobrego przeczuwało jego serce. Obejrzał się, rzucił wzrokiem za siebie: dokoła wszędzie, mroczna ciemność. „Nie, lepiej nie patrzeć“ pomyślał, zamknął oczy i poszedł dalej; lecz potém, chcąc widzieć, czy blizki już koniec, gdy rozwarł powieki, ujrzał przed sobą jakichś wąsatych ludzi, jakich? nie mógł rozpoznać. Tuman pokrył oczy, serce mu zabiło. „A wszak to mój płaszcz!“ rzekł jeden z nich grzmiącym głosem, chwytając go za kołnierz. Akakij-A-

1) Chałupki.

kakijewicz tylko co chciał już zakrzyczeć: „karaul!“ 1) aż tu drugi podniósł mu do samych ust pięść, wielkości urzędniczej głowy, i przemówił: „otkrzyknij tylko!“ Akakij-Akakijewicz czuł że mu zdjęto płaszcz, pchnięto silnie kolanem, tak, iż upadł na wznak na śniegu, i więcej nie już nie czuł. W kilka minut nieco się wytrzeźwił, powstał na nogi, ale już nikogo nie było. Czuł, że w polu chłodno, że nie ma płaszcza i zaczął krzyczeć; ale głos, zdało się, ani myślał dolatywać do końców placu. Zrozpaczony, nie przestając krzyczeć, rzucił się biedz z całej siły przez plac, wprost ku budce, przy której stał budnik i z ciekawością poglądał, wsparty na swojej halebardzie, co to za lichy bieży do niego zdaleka i krzyczy. Akakij-Akakijewicz, przybiegłszy, począł zadyszczanym głosem krzyczeć, że on śpi, niczego nie pilnuje i nie widzi jak odzierają człowieka. Budnik odrzekł, że nie widział nikogo, postrzegł wprawdzie, jak go wśród placu zatrzymało

1) Straż, warta.

dwóch ludzi, lecz myślał, że to jego przyjaciele; niech miasto tego, co ma się napróżno kłócić, idzie jutro do Nadziratela 1), to Nadziratel dójdzie, kto wziął płaszcz. Akakij - Akakijewicz przybiegl do domu w zupełnym nieładzie: odrobina włosów, trzymających się jeszcze u skroni i za uszyna, dziwnie się najeżyła, bok, piersi i całe spodnie były w śniegu. Staruszka, gospodyni jego, słysząc gwałtowne pukanie, co prędzej zeskoczyła z pościeli i pobiegła, w trzewiku na jednej tylko nodze, otworzyć drzwi, przytrzymując, przez skromność, ręką koszulę u piersi; za odparciem drzwi, widząc Akakija - Akakijewicza w takim stanie, cofnęła się nazad. A kiedy opowiedział jój całą rzecz, klasnęła w dłonie i rzekła, że trzeba iść prosto do Czastnego 2), że Kwartalny oszuka, przyrzecze i zacznie uwodzić, a najlepiej iść prosto do Czastnego; że on znajomy jój nawet, bo Anna Czuchonka, wprzód jój kucharka, teraz u Czastnego jest niańką,

1) Policyiny Dozorca Kwartalu.

2) Policyiny Dozorca części miasta.

że sama ona widzi nieraz Czastnego, jak przejeżdża mimo jęj domu, a że on bywa także każdęj niedzieli w Cerkwi, modli się i wesolo wówczas na wszystkich pogląda, stąd zaś widać wyraźnie, że musi być dobry człowiek. Wysłuchawszy tęg rady, Akakij-Akakijewicz wsunął się smutny do swęj izby i jak tam przebył noc, zostawuje się sądowi każdego, mniej więcéj mogącego sobie wyobrazić położenie drugich. Nazajutrz rano udał się do Czastnego, lecz powiedziano, że śpi; przyszedł o dziesiątęj — znowu mówią, śpi; przyszedł o jedenastęj — mówią: Czastnego niema w domu; w obiadową porę — pisarze w przedpo-koju za nie go wpuścić nie chcieli, piérwęj usiłując wybadać, jaka sprawa go przywiodła, co ma za potrzebę i co się takiego przytrafilo; tak, że nakoniec Akakij-Akakijewicz piérwszy raz w życiu chciał wykazać charakter i wbrew odrzekł: że osobiście musi widzieć samego Czastnego, że oni nie śmia go nie dopuścić, że on przyszedł z Departamentu, w sprawie skarbowęj i że ot, jak on na nich poskarży, tak ot oni wtenczas i zo-

haczą. Pisarze na to nie śmieli mówić i jeden z nich poszedł wezwać Czastnego. Ten bardzo jakoś dziwacznie przyjął opowiadanie historji pochwyconego płaszcza. Zamiast zwrócenia uwagi na sam przedmiot sprawy, zaczął wypytywać Akakija - Akakijewicza: dla czego on tak późno powracał, czy gdzie nie zachodził, czy nie był w jakim nieporządnym domu; tak, że Akakij - Akakijewicz zupełnie się zmięszał i odszedł, nie wiedząc sam, weźmie-li należyty kierunek sprawa o płaszcz, lub nie. Cały ten dzień nie był on w Departamencie (osobliwszy traf w jego życiu). Na drugi dzień stawił się do obowiązku, nadzwyczajnie blady, w starój już kاپocie, jeszcze oplakańszego stanu. Chociaż znaleźli się tacy, którzy nie stracili i tego nawet zdarzenia, żeby się pośmiać z Akakija - Akakijewicza, jednak opowiadanie o wydarciu płaszcza wielu wzruszyło. Zdecydowano zrobić dla niego składkę, ale zbiór był lichy. bo spółtowarzysze jego i bez tego bardzo się wtędy z grosza wyzuli, zaprenumerowawszy na dyrektorski portret i na jakąś książkę, zaleconą przez Naczelnika Wydziału, przyja-

ciela autora — i stąd złożona sumka nie prawie nie znaczyła. Ktoś, pobudzony litością, by pomodz Akakijemu-Akakijewiczowi dobrą przy-
najmnięj radą, powiedział mu, żeby szedł nie do Kwartalnego, bo choćby się nawet zdarzyło, że Kwartalny, chcąc zasłużyć na wziętość u naczelników, odzyskałby płaszc; ten zawsze pozostanie w Policji, nim on przedstawi prawne dowody, iż rzeczywiście do niego należy; niechby się raczył udał do jednćj znaczącćj osoby; a ta znacząca osoba, opisawszy się i zniósłszy się z kim należy, może przyspieszyć bieg sprawy. Nie ma co robić, Akakij-Akakijewicz zrezygnował się iść do znaczącćj osoby. Jaki mianowicie był obowiązek tćj znaczącćj osoby i na czćm zależał, to dotychczas zostaje w niewiadomości. Trzeba wiedzić że owa znacząca osoba, nie dawno się stała znaczącą, a do tego czasu była nie a nie nieznaczącą. Zresztą, miejsce jćj i teraz się nie uważało za znaczące, w stosunku do innych jeszcze więćj znaczących. Lecz zawsze się znajdzie takie koło ludzi, dla, których jest znaczącćm i to nawet, co w o-

czach drugich wydaje się niemal niczém. Zresz-
 tą, znacząca osoba starała się powiększyć swo-
 ję wziętość wielu innemi środkami: wprowa-
 dziła, żeby jój podrzędni, za każdym razem, kie-
 dy przychodzi dla spełnienia obowiązku, spoty-
 kali ją i to jeszcze na wschodach; żeby się wprost
 jój nikt nie śmiał przedstawiać, żeby jak naj-
 ściślejszy utrzymywano porządek: Kollegski
 Registrator wyjaśniał rzecz Gubernskiemu Se-
 kretarzowi, Gubernski Sekretarz — Tytu-
 larnemu, albo, jak wypadło, drugiemu ja-
 kiemu i żeby w ten dopiéro sposób sprawa
 dochodziła aż do niej. Takto na świętej Rusi
 wszystko już zarażono naśladownictwém, każdy
 przedrzeźnia i wykrzywia swojego naczelnika.
 Powiadają nawet, że jakiś Tytularny Sowietnik,
 skoro go zrobiono Rządzcą jakiejś oddzielnój,
 nie wielkiej kancelarji, odgrodził sobie zaraz
 osobny pokój, nazwał go „izbą urzędową“ i
 postawił u drzwi dwóch Kapeldinerów,
 w czerwonych kołnierzach z galonami, któ-
 rzy sięgali klamki i otwierali drzwi każdemu
 z przychodzących, chociaż w „izbie urzędo-
 wój“ zaledwo mógł się zmieścić zwyczajny
 stół do pisania. Ujęcie i obyczaj znaczącej

osoby były pełne gruntowności i wspaniałości. Głównym fundamentem jego systematu była srogość. Srogość, srogość i—srogość, zwykł on sam mawiać i przy ostatniem słowie dobitnie patrzył w twarz temu, komu to mówił. Chociaż, zresztą, żadnej ku temu nie było przyczyny, ponieważ dziesiątek bióralistów, składających cały rządzący mechanizm kancelarji, i bez tego czuł należytą bojaźń: zajrzawszy go zdaleka, rzucał robotę, wstawał, wyciągał się jak struna i w takim położeniu oczekiwał, nim naczelnik przejdzie przez pokój. Zwyczajna rozmowa jego z niższymi, trąciła srogością i zawierała się prawie we trzech frazesach: jak wyśmiecie? a znacież wy, z kim mówicie? rozumiecież, kto przed wami stoi? Zresztą, w duszy był to nie zły człowiek, z towarzyszami łagodny, usłużny; lecz jeneralska ranga zbiła zupełnie go z partesu. Otrzymawszy tę rangę, jakoś się splątał, zbił się z drogi i sam nie wiedział, jak żyć dalej. Jeżeli się mu trafiało obcować z równymi, był jeszcze człowiekiem, jak należy, człowiekiem bardzo porządnym, z wielu miar nawet weale nie głupim,

jakże tylko dostał się do koła, gdzie byli ludzie choć by jedną rangą od niego niżsi, wnet stawał się, wprost do niczego: milczał i położenie jego wzbudzało litość, tém bardziej, że sam nawet czuł, iż mógłby przepędzić czas daleko przyjemniej. Niekiedy w oczach jego można było czytać silną chęć przyłączenia się do jakiejś zajmującej rozmowy lub do jakiego grona, lecz myśl: czy nie będzie to już z jego strony za wiele, za nadto familjarnie i czy nie uniży przez to swojego znaczenia; zawsze go wstrzymywała. W skutek takich rozważań, zostawał wiecznie w jednakiem, milczącym położeniu, wydając tylko kiedy niekiedy jakieś jednozgłoskowe tony; a przez to pozyskał tytuł najnudniejszego człowieka. Przed taką to znaczącą osobą stawiał się nasz Akakij-Akakijewicz i stawiał się w czas bardzo nie przyjazny, bardzo nie w porę dla siebie, choć zresztą w porę dla znaczącej osoby. Ta bowiem znajdowała się w swoim gabinecie i rozmawiała bardzo — bardzo wesolo z jednym dawnym znajomym i towarzyszem lat dziecińczych, który tylko co był przyjechał i z którym od kilku lat już się

nie widzieli. Oznajmiono mu, że przyszedł jakiś Baszmaczkin. Znacząca osoba urywkowie zapytała: „kto taki?” — odpowiedziano: „jakiś czynownik“

„A! to może zaczekać, nie czas teraz“ odparł. Tu wyrazić należy, że znacząca osoba należycie zelgała: miała bowiem czas, dawno już z przyjacielem wygadali wspólnie wszystko co tylko mieli wygadać i sztukowali rozmowę przeciągłym milezeniem, zlekka trzepiąc jeden drugiego po kolanach i przemawiając: „tak to, tak to, Iwan Abramowicz!“ — „tak to, tak to, Stiepan Warłamowicz!“, lecz z tém wszystkim kazał poczekać na siebie czynownikowi dla tego, żeby pokazać przyjacielowi, który już od dawna nie służył i zakopał się na wsi, jak długo czynownicy nawet czekają na niego w przedpokoju. Nakoniec nagadawszy się, a więcéj jeszcze namilezawszy się zadość i wypaliwszy w bardzo wygodnym krześle cygaro, znacząca osoba, niby przypominając, rzekła do Sekretarza, który się zastanowił był u drzwi z papierami dla dokładu: „a wszak, zdaje się, tam czeka czynownik; powiedzcie mu, że może wejść.“ Ujrzawszy pokorną fizjognomiję

Akakija-Akakijewicza i stary na nim wice-mundur, znacząca osoba wnet się ku niemu obróciła i rzekła: „czego potrzebujecie.“ Słowa te przemówiła głosem przerywanym i twardym, którego się umyślnie uczyła sama — na sam, przed zwierciadłem, w swoim pokoju, tygodniem jeszcze przed otrzymaniem terazniejszego miejsca i jeneralskiej rangi. Akakij-Akakijewicz, zawczasu już czujący należytą trwogę, jeszcze się bardziej zmięknął, i jak mógł, o ile mu dozwalała swoboda języka, objaśniał, dołączając jeszcze częściej niż zwykle swoje upodobane: „tego:“ że płaszcz ten był zupełnie nowy, że teraz jest ograbiony nieludzkim sposobem, i że udaje się do niego, aby on swém wstawieniem się jakkolwiek, tego, porozumiał się z panem Oberpolicemjstrem, lub kim innym i odzyskał płaszcz. Jenerałowi, niewiadomo dla czego, zdało się zbyt poufałem takie obejście się. „Co wy, mościwy panie!“ odrzekł urywkowie: „nie znacie porządku? gdzieżecie to zabrnęli? alboż nie znacie jak się toczą sprawy? O tém powinniście byli najpierwój podać prośbę do kancelarji; prośba postąpiłaby do Stolu-

naczelnika, stamtąd do Naczelnika Wydziału, potem do Sekretarza, a Sekretarz dopiero podał by ją mnie?...,

„Ależ Jasnie Wielmożny Panie! rzekł Akakij-Akakijewicz, starając się skupić razem malenką garstkę przytomności ducha, jaka się tylko w nim zawięrała i czując jednocześnie, że okropnie potniał. „Ja JW Pani! śmiałem utrudzić dla tego, że Sekretarze tego zawodni ludzie“

„Co, co, co? „odrzekła znacząca osoba: „z kądeście to nabrali takiego ducha? z kądeście myśli takich nabrali? coż to za zuchwałość u tych młodzikow przeciw naczelnikom i wyższym!“ Znacząca osoba zapewne nie uważała że Akakij-Akakijewicz przebył już piąty krzyż; i jeśli mógł nazwać się młodym, to chyba w stosunku tylko do siedemdziesięcio letniego człowieka. „Wicież wy, do kogo to mówicie? pojmujecież, kto przed wami stoi? pojmujecież wy to, pojmujecież, he? Pytam..!“ I tupnął nogą, wzniosłszy głos do tak wysokiej nóty, że nawet i nie takiemu, jak nasz cichy bohater, zrobiłoby się straszno. Akakij-Akakijewicz całkiem obumarł, zachwiał się,

zadrzał wszystek i nie mógł już stać i gdyby go nie podchwycili stróże, wnetby padł na posadzkę jak długi. Wyniesiono go prawie bez duszy. A znacząca osoba, zadowolniona, że efekt przewyższył samo oczekiwanie, i upojona myślą że słowo jej może nawet pozbawić człowieka przytomności, spojrziała z ukosa na przyjaciela, chcąc wyrozumieć, jak on to znajduje, i nie bez przyjemności spostrzegła, że przyjaciel był w jakimś nieokreślonym stanie; sam już nawet tchórzycę zaczynając.

Jak spuścił się ze schodów, jak wyszedł na ulicę, — nie już tego nie pamiętał Akakij-Akakijewicz. Nie czuł ni rąk ni nóg. W całym życiu swoim nie był jeszcze tak silnie wyburowany przez naczelnika, a do tego jeszcze obcego. Z rozwartą gębą, brnął w zamieci, jęczącej po ulicach; zbijał się z trotuarów; wiatr, wedle petersburskiego zwyczaju, porywał go silnie ze wszystkich czterech stron, przez wszystkie zaułki i w oka mgnieniu nawiał mu w gardło ż a b ę. (*) Przyczolgał się Akakij-Akakijewicz do domu, nie mając już sił

(*) Wrzód w gardle.

wyrzec słowa; cały spuchł i zaległ łoże. Tak to silném bywa czasami należyte wyburowanie.

Nazajutrz okazała się u Akakija-Akakijewicza silna gorączka. Dzięki szczodrobliwéj pomocy petersburskiego klimatu, choroba postępowała skorzej, niż można było oczekiwać i przybyły lekarz, po dotknięciu pulsu, nie wiedząc już jak zapobiedz, przepisał tylko kataplazmę, jedynie dla tego, aby chory nie został bez opiekuńczej pomocy Medycyny, zresztą tuż mu zwiastował za półtóry doby nieodzowny k a p u t; potém, obracając się do gospodyni, rzekł: „a wy, matko, nie traćcie darmo czasu, kaźcie wnet zbić mu sosnową trumnę, bo dębowa będzie dla niego za droga. Słyszalli Akakij-Akakijewicz te wieszczę dla niego słowa, jeśli słyszał, wywarłyli one na niego silnie wzruszające działanie, pożałowalli on gorzkiego swego życia, — tego nie wiemy, bo cały ten czas w silnej zostawał malignie. Bezustannie przedstawiały się mu zjawiska coraz dziwniejsze: to widział Pietrowicza i umawiał się z nim o szycie płaszcza z jakimiś łapkami na złodziejów,

którzy zdawali mu się ciągle wyzierać z pod łóżka i on co minutę przywoływał gospodynię, rozkazując wyciągnąć jednego złodzieja, nawet z pod kołdry; to zapytywał, po co wisi przed nim stara kapota, kiedy już ma nowy płaszcz; to marzyło mu się, że stoi przed generałem, słucha sowitój bury i przemawia: „winienem, Jaśnie Wielmożny Panie!"; to nakoniec bluźnił, wymawiając najstraszniejsze wyrazy, tak, że stara gospodyni kładła znamię krzyża, nie słysząc wprzód od niego nigdy podobnych, tém bardziej, że one bezpośrednio się wyrwały za słowem: „Jaśnie Wielmożny Panie!“ Dalsza jego mowa nie miała najmniejszego sensu, tak, że nie już z niej nie można było wyrozumieć, chyba to tylko, że niepojęte słowa i myśli krążyły około jednego i tegoż samego ciągle płaszcza. Nakoniec biédny Akakij-Akakijewicz wyzionął ducha. Ni izby, ni rzeczy jego nie opieczętowano, naprzód dla tego, że nie miał suksesorów, a powtóre, że po nim nie wielkie zostały spadki, jako to: pęczek piór gęsich, libra białego skarbowego papieru, trzy pary szkarpetek, dwa czy trzy

guziki, odprute od starych spodni i znana już czytelnikowi kapota. Komu się to wszystko dostało, Bogu samemu wiadomo; przyznam się, że oto nawet nie dowiadywał się piszący tę powieść. Akakija - Akakijewicza wywieziono za miasto i pogrzebano. S. Petersburg pozostał bez Akakija - Akakijewicza, jak gdyby go w nim nigdy nie było. Znikła i skryła się istota, której nikt nie poratował, nikomu nie droga, nikogo nie obchodząca, na którą nawet nie zwrócili uwagi naturaliści, starannie rozpatrujący przez mikroskop zwyczajną muchę; istota, pokornie znosząca kancelaryjskie drwinki i bez żadnej nadzwyczajnej przyczyny strącona do grobu; lecz dla której, choć przy samym schyłku żywota, mignął przecież świetny gość w postaci płaszcza i ożywił na chwilę biedne jój życie, którą przywaliło potem nieznośne nieszczęście, jak przywała głowy mocarzów tego świata. W kilka dni po śmierci, wysłano do niego z Departamentu stróża, z rozkazem, aby się natychmiast stawił, bo naczelnik go potrzebuje; ale stróż powrócił z niczym, zdając rachunek, że przyjsć nie może; a na zapytanie, dla czego, wyraził

się w słowach: „bo umarł i zawczoraj pochowany.“ Takim sposobem dowiedziano się w Departamencie o śmierci Akakija - Akakijewicza i na drugi dzień potém, na jego miejscu siedział już nowy czynowniczek, daleko wyższego wzrostu i stawiający litery nie tak równym charakterem, a daleko pochylój i kosiój.

Lecz któżby się domyślał, że to jeszcze nie wszystko o Akakiju - Akakijewiczu, że jemu sądzono było przeżyć szumnie kilka dni po śmierci, jakby w nagrodę zapomnianego i cichego życia; przecież tak się zdarzyło i uboga historja nasza, nadspodzianie przybiera fantastyczne zakończenie. Po Petersburgu przebiegła wieść, że przy Kalinkina moście i dalej nierównie, co noc zjawia się upiór w postaci czynownika, szukającego jakiegoś porwanego płaszcza i pod pozorem tego płaszcza zdzierającego ze wszelkich plec, bez względu na stan i rangę, rozmaite płaszcze: z kotami, bobrami, na wacie, szuby lisie, niedźwiedzie, słowem: wszelkiego gatunku futra i skóry, jakimi tylko ludzie pokrywają własną. Jeden czynownik z Departamentu widział na własne swe oczy upióra

i zaraz w nim poznał Akakija - Akakijewicza; lecz to go nabawiło takiego strachu, że co temu porwał się uciekać i nie mógł dobrze rozpatrzeć, a widział tylko, jak ów pogroził mu zdala palcem. Ze wszech stron zanaszano skargi, że grzbiety i plecy, niechby tylko jeszcze Tytularnych, lecz nawet i Nadwornych Sowieńników, wystawione bywają na zupełne przeziębienie, z przyczyny częstego zdzierania płaszców. W Policji nastąpiło rozporządzenie, schwytać nieodmiennie upiora, jakkolwiek bądź, żywcem lub martwego i ukarać go, dla przykładu drugich, najsurowszym sposobem; i o omal co tego nie dokonano. Mianowicie: budnik jakiegoś kwartału w kiruszkinowym zaułku już był schwytał upiora za kołnierz, właśnie w sam czas, gdy ów zamierzył się zdierać frysowy płaszcz z jakiegoś tam odstawnego muzykanta, który swego czasu przyjemnie gwizdał na flaucie. Schwytałszy go za kołnierz, wywołał krzykiem dwóch drugich towarzyszków, którym porучzył go trzymać, a sam na minutkę tylko schylił się do cholewy, dla dostania złamtańd rożka z tobaką, i odświeżenia choć

na chwilę sześć już razy w życiu przymrożonego nosa; lecz tabaka musiała być osobliwszego gatunku, że nawet i upior znieść jój nie mógł. Nie miał czasu jeszcze budnik, zacisnąwszy palcem prawe nozdrze, pociągnąć do lewój, szczypty, gdy w tém upior tak silnie kichnął, że wszystkich trzech ogłuszył. Nim przyszli do siebie, upior przepadł, tak, że nie wiedzieli nawet, czy rzeczywiście był kiedy w ich ręku. Odtąd budnicy tak się zlekli upiorów, że i żywych nawet bali się chwycić, a tylko zdala pokrzykiwali: „ej ty! idź swoją drogą!“ i upior — czynownik, zaczął się pokazywać już za kalinkinowym mostem, nabawiając nie małym strachem wszystkich tchórzliwych ludzi. Ale porzuciliśmy zupełnie naszą znaczącą osobę, która bodaj czy nie wyłącznym była powodem fantastycznego kierunku historii, zresztą, że wszech miar prawdziwej. Sprawiedliwość wymaga najpierw powiedzieć, że po odejściu okropnie zbesztanego biednego Akakija - Akakijewicza, znacząca osoba uczuła coś naksztalt żalu. Litość nie była obcą; do serca jój

miało przystęp wiele dobrych wzruszeń, chociaż ranga bardzo często zawadzała ich wywnętrzaniu. Skoro tylko wyszedł z gabinetu gość przyjaciel, zamyśliła się nawet o biednym Akakiju Akakijewczu. I odtąd prawie codzień przedstawiał się jój blady Akakij - Akakijewicz, nie zdolny wytrzymać urzędowego besztania. Myśl o nim niepokoiła ją do takiego stopnia, że, po upływie tygodnia, nawet zrezygnowała się **z n a e z a c a o s o b a** posłać do niego czynownika dla dowiedzenia się, co się z nim dzieje, i czy nie można w samej rzeczy czémkolwiek mu dopomódz; a kiedy doniesiono, że Akakij - Akakijewicz nagle umarł z gorączki, przeraziła się okropnie, uczuła wyrzuty sumienia i przez cały dzień w złym była humorze. Chcąc się nieco rozerwać i zapomnieć nieprzyjemnego wrażenia, udała się na wieczor do jednego ze swych przyjaciół, u którego zastała porządne towarzystwo, a co najlepiej, prawie wszyscy tam znajdujący się, mieli jedną i tąż samą rangę, tak, że niczém zgoła nie miała potrzeby w obejściu się ograniczać. Wywarło to dziwny wpływ na jój humor. Stała się wesola, przyjemna w rozmowie, miła;

słowem: przepędziła wieczor bardzo przyjemnie. Przy kolacji, wypila dwie szklanki szampańskiego — środek, jak wiadomo, nie zły, podniecenia wesołości. Szampańskie wzbudziło w niej ochotę do różnych excessów, a mianowicie: postanowiła nie jechać wprost do domu, lecz wstąpić wprzód do jednej znajomej Damy Karoliny Iwanówny, podobno niemki, ku której czuła przyjacielski affekt. Trzeba tu jeszcze powiedzieć, że *znacząca osoba*, człowiek już był nie młody, dobry mąż, szanowny ojciec rodziny. Dwóch synów, z których jeden służył już w kancelarii i miłolica szesnastoletnia córka, z nieco wygiętym, ale nieszpetynym noskiem, codziennie przychodzili pocałować go w rękę, przemawiając: *bon jour, papa*. Żona, kobieta jeszcze świeża, weale nawet nieszpetyna, naprzód dawała mu ucałować własną rękę, potem, przewróciwszy ją na drugą stronę, całowała jego. *Znacząca osoba*, chociaż zupełnie znajdował zadowolenie w domowych pieszczotach swęj rodziny; uznał atoli przyzwoitęm, mieć dla poufałych stosunków przyjaciółkę w drugiej części miasta. Ta przyja-

ciółka weale nie była przystojniejszą i młodszą od jego żony; lecz takie to zagadki bywają na świecie, a rostrzygać je bynajmniej do nas nie należy. I tak znacząca osoba zszedł ze wschodów, stanął w saniach i zawołał na furmana: „do Karoliny Iwanówny,“ a sam, otuliwszy się bardzo rokosznie ciepłym płaszczem, zostawał w tym przyjemnym stanie, nad który lepszego ani podobna wymyślić dla ruskiego człowieka, to jest: gdy sam o niczem nie myślisz, tym czasem myśli, jedna od drugiej przyjemniejsze, same ci płyną przez głowę, uwalniając zupełnie od fatygi, upędzania się za niemi i szukania ich. Pełen przyjemności, zlekka przypominał sobie wszystkie wesołe chwile przepędzonego wieczora, wszystkie słowa, które rozsmięszały szczuple koło; wiele z tych słów powtarzał sam sobie półgłosem i znajdował, że wszystkie równie były śmieszne teraz, jak i pierwej; więc nie dziw, że i nie dawno z całego śmiał się serca. Niekiedy jednak przeszkadzał mu gwałtowny wiatr, który ni stąd ni z owąd, Bóg wie skąd i nie wiedzieć z jakiej przyczyny, nalatując go raptownie, smałił mu w twarz,

orzucal go platkami śniegu, podwiéwał, jak żagiel, kołnierz płaszcza, albo zmienacka, z nadzwyczajną siłą, narzucał mu go na głowę, wprawiając w ambarass ciągłego odwijania i krzątania się koło szyi. Wtém poczuła znacząca osoba, że ją ktoś chwycił mocno za kołnierz. Obejrzawszy się, spostrzegła człowieka nizkiego wzrostu, w starym, wytartym wicemundurze i nie bez okropnego przestachu poznała w nim Akakija - Akakijewicza. Twarz bióralisty, blada jak śnieg, podobniuteńka była do trupiej. Ale przestach znaczącej osoby przeszedł wszelkie granice, kiedy się gęba upiora skrzywiła i, cuchnąwszy na niego mogilnym oddechem, temi zionęła wyrazy: „A! tak ot ty nakoniec! nakoniec ja ciebie tego, pojmałem za kołnierz! twego to płaszcza mnie i trzeba! nie postarałeś się o odzyskanie mojego, a jeszcze wylajaleś — dawajże mi teraz swój!“ Biedna znacząca osoba o mało nie umarła. Chociaż się odznaczała twardością charakteru w kancelarji i w ogólności przed niższymi, chociaż: spojrzawszy na mężną jej fizjognomiję i figurę, każdy mówił: „a! jaki

charakter!“ ale tu, podobnie jak wielu, mających bohaterską a zwodniczą powierzchowność, uciekała się w przestraszonych, że nie bez przyczyny uciekała się jakiego chorobliwego wypadku. Co prędzej sama zrzuciła z ramion swój płaszcz i nie własnym już głosem krzyknęła na furmana: „co temu pędź do domu!“ Furman, słysząc głos, który wychodził w stanowczych tylko chwilach i zazwyczaj wrażał się czémś jeszcze dzielniejszym w pamięć, na wszelki przypadek podkureczył i wyciągnął głowę, klasnął z bicia i strzałą poleciał. W sześć minut z n a c z ą c a o s o b a, stanęła przed gankiem swego domu. Blady, przełknięty i bez płaszcza, zamiast do Karoliny Iwanówny, przyjechał do siebie; przyczółgał się jako-tako do swego pokoju i przetrwał noc w wielkiej trwodze, tak, że nazajutrz rano, przy herbacie, córka wprost mu powiedziała: „ty dziś zupełnie blady, papa.“ Ale papa milczał i nikomu słówka nie powiedział o tém, co się zdarzyło, gdzie był i dokąd chciał jechać. Wypadek ten silnie wpłynął na niego: odtąd daleko nawet rzadziej mówił do swych podwładnych: „jak wy śmie-

cie? rozumiecież, kto przed wami stoi? — a jeśli kiedy mówił, to nie piérwój, aż po wysłuchaniu, o co chodziło. Lecz godniejszém jest zastanowienia to, że od owego czasu zupełnie przestał zjawiać się upior — czynownik: pewnie jeneralski płaszcz jak raz w miarę przypadł mu do ramion; przynajmniej nie słyszano już o wypadkach zdzierania z kogo bądź płaszczów. Zresztą, wielu czynnych i frasobliwych ludzi za nic nie chcieli uspokoić się i gawędzili, że w dalszych częściach miasta jeszcze się zjawia czynownik — upior. I rzeczywiście, jeden kołomieński budnik widział na własne oczy, jak się ukazała z po za jednego domu mara; lecz że był z natury nieco bezsilnym, tak, iż razu jednego zwyczajny wzrosły prosiak, wyrwawszy się z jakiegoś prywatnego domu, zbił go z nóg ku wielkiemu śmiechowi stojących dookoła zwoszczyków, z których budnik, za takie szyderstwo wybrał po groszu na toba-kę; — i tak, będąc bezsilny, mnie śmiał jój zatrzymywać, szedł tylko za nią w ciemności, póty, aż nakoniec mara obejrzała się i, zastanowiwszy, zapytała: „a ty czego chesz?“

i nastawiła taką pięść, jakiej u żywych ani widać. Budnik odrzekł: „niczego“ i zawrócił się zaraz nazad. Mara ta jednakże była daleko wyższego wzrostu, nosiła ogromne wąsy, i zwróciwszy, jak się zdawało, kroki ku obuchowemu mostowi, skryła się zupełnie w ciemnocie nocnej.

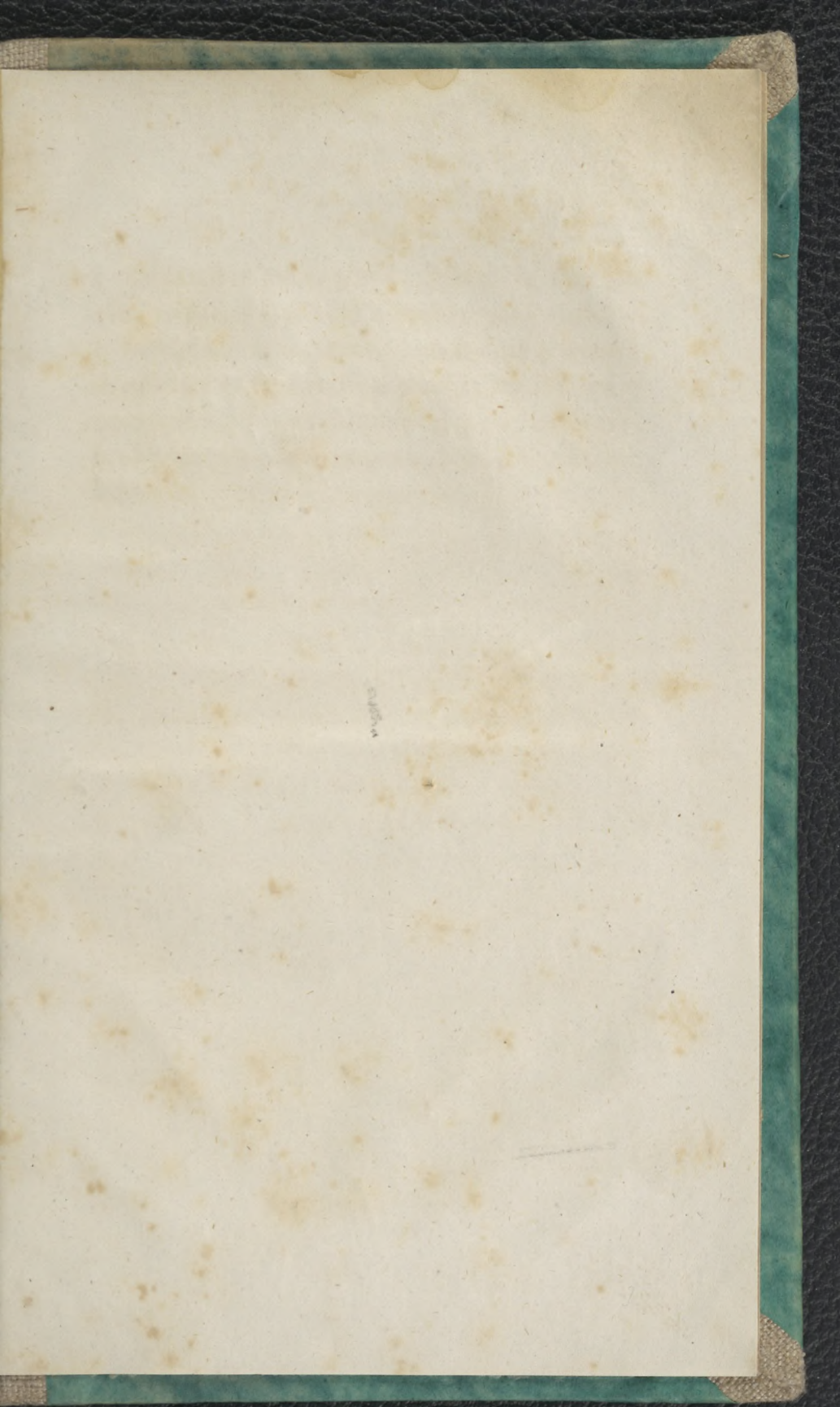
przełożył: *Piotr Łazarowicz Szepielewicz.*

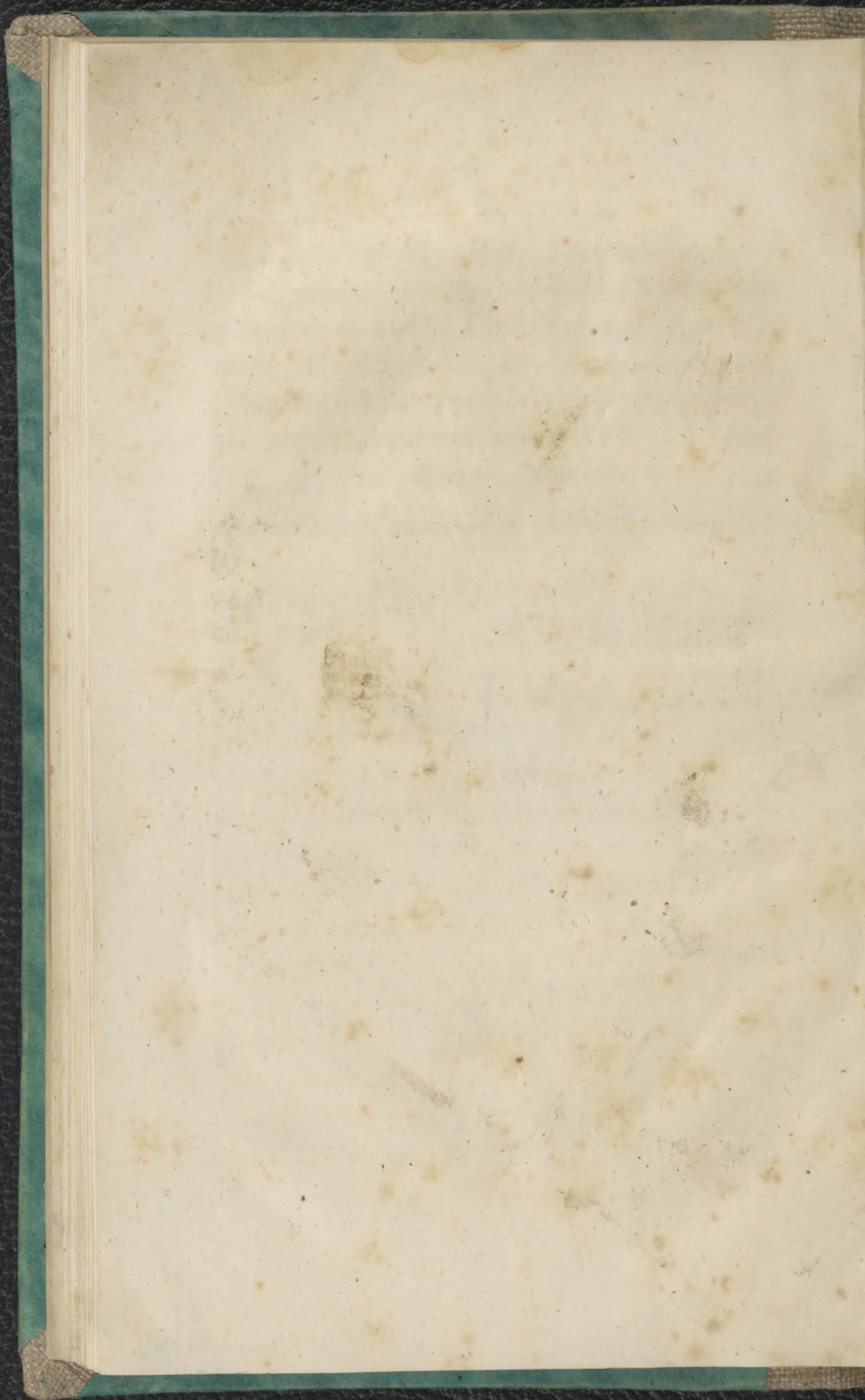
Pskow.

16go Stycznia

1844 roku.





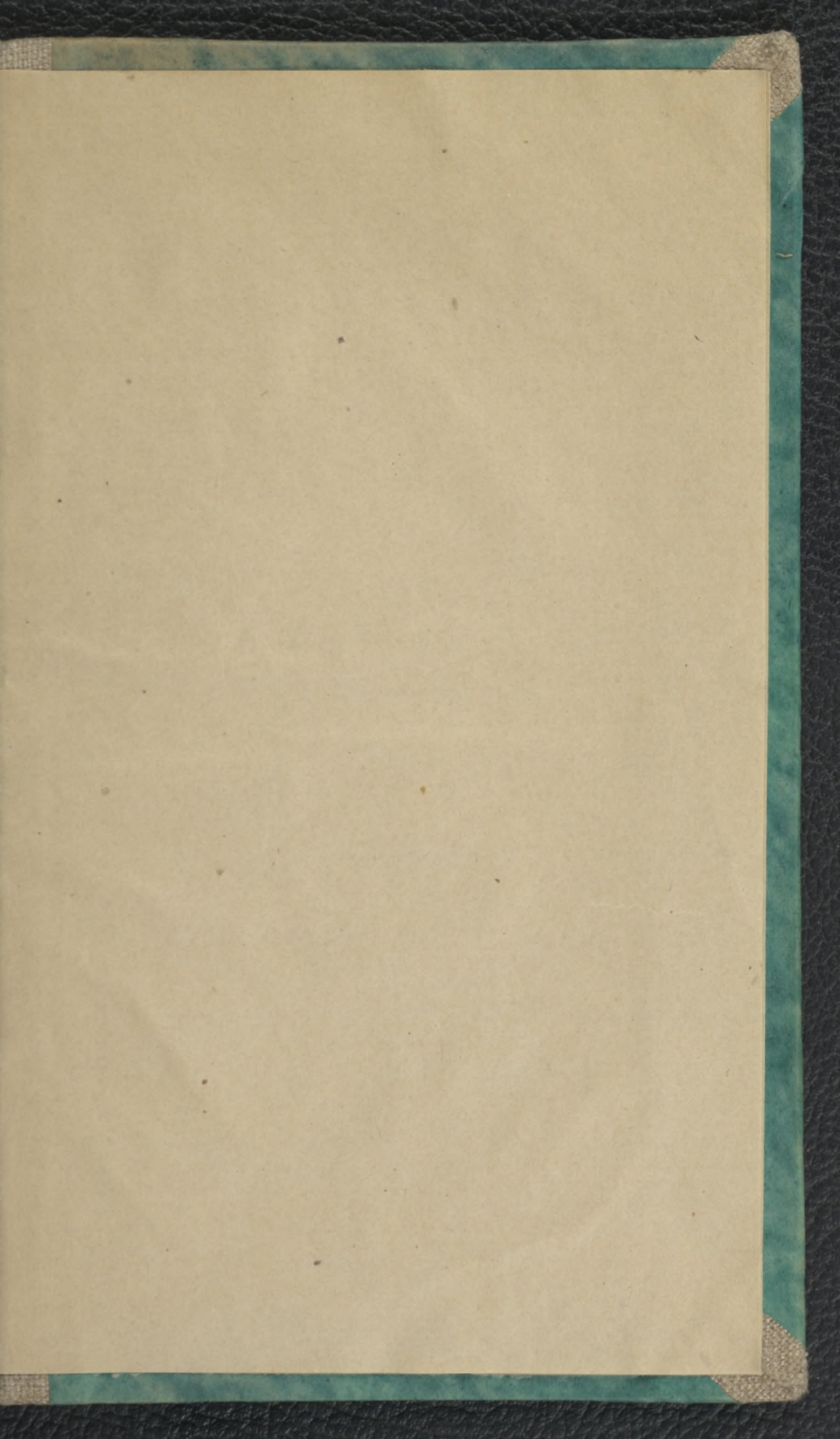


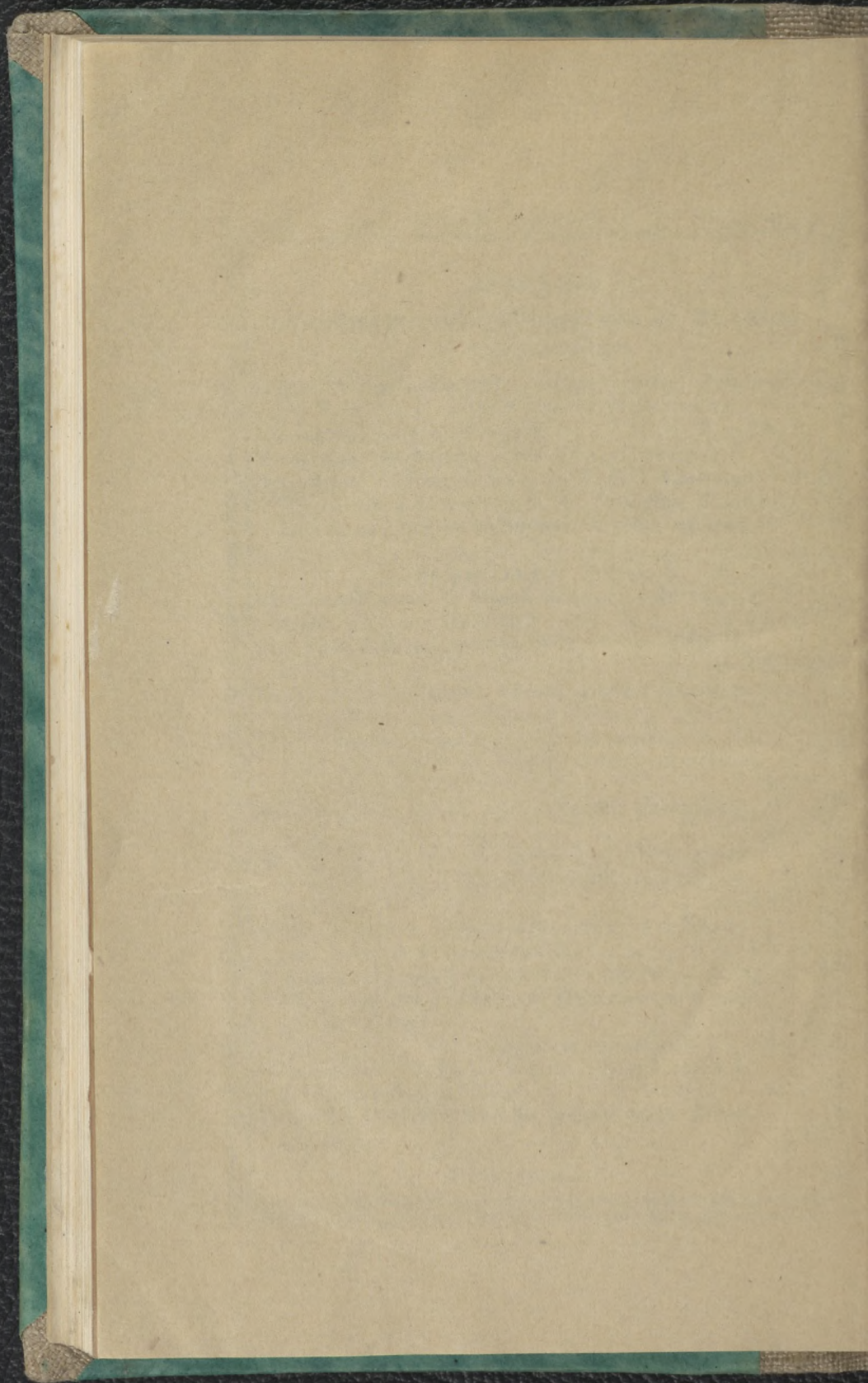
Stary zasob

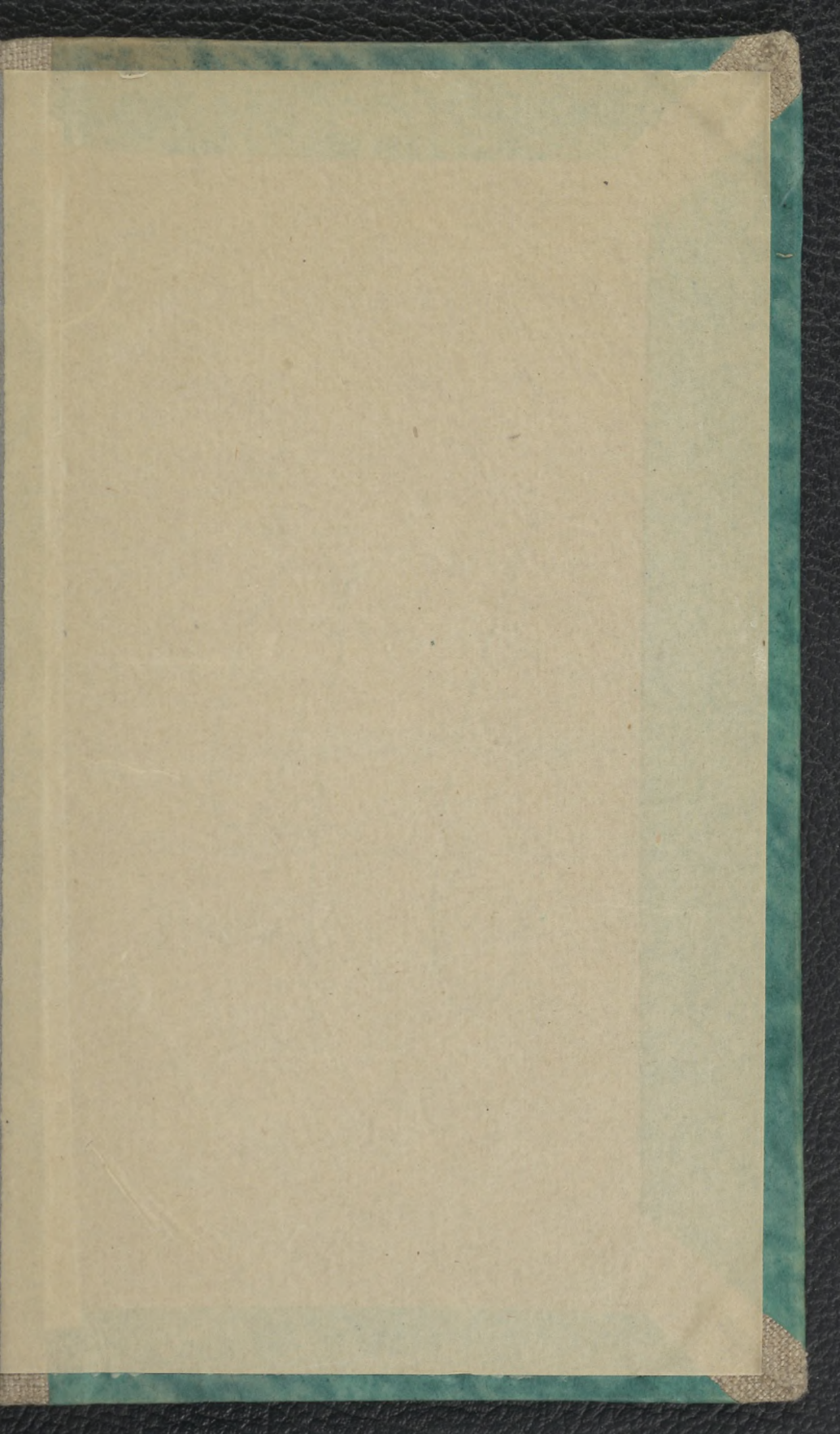
DZIEŁA

znajdujące się w Księgarni Teofila Glücksberga

- Dzieła Williama Shakspeare. Przekład Ign. Kefalińskiego, Tom I i II z przedpłatą na T. ostatni rs. 6 k. 75
Literatura i Krytyka. Pisma M. Gr. r. 1840 2. T. rs. 2 k. 25
Mieszaniny obyczajowe przez Jarosza Bejłę 2 T. rs. 4.
Narzędzia męki Chrystusowej p. X. Jana Emanuela Veit, Tłumaczył z niemieckiego X. Stanisław Chołmowski na papierze welinowym z ryciną na stali rs. 2.
bez ryciny . . . rs. 1 k. 65.
na pap. zwyczaj. białym . . . rs. 1 k. 50.
Obraz myśli mojej, o celach istnienia człowieka, dzieło Floryana Bochwica . . . rs. 1 k. 35.
Pisma przedślubne i przedsplinowe Johna of Dycalp 2 Tomy . . . rs. 1 k. 50
Podole, Wołyń, Ukraina. Obrazy miejsc i czasów, p. Alexandra Przeddzieckiego, 2 Tomy . . . rs. 3.
Przygotowania do nauki dziejów powszechnych, i historii rozwinięcia się umysłu i ducha ludzkiego, przez Tytusa Szczeniowskiego . . . k. 75.
Próby Dramatyczne polskie Alexandra Przeddzieckiego . . . rs. 1
Stannica Hulajpolska. Powieść narodowa przez Edwarda Tarszę, autora Koliszczyzny i Stepów 5 Tomów . . . rs. 3 k. 75
Szatan i Kobięta, Fantazyja dramatyczna w XI nocach, przez J. I. Kraszewskiego . . . rs. 1 k. 50.
Tomasza a Kempis o naśladowaniu Chrystusa, Książ IV. przekładania Tadeusza Matuszewica, w oprawie safianowej . . . rs. 2
w oprawie zwyczajnej . . . rs. 1.
Wspomnienia Wołynia Polesia i Litwy przez J. I. Kraszewskiego, 2 Tomy . . . rs. 3.
Zaścianek, niedawna Kronika, spisana przez Johna of Dycalp . . . rs. 1.









149221

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010361922